Nr. 38. Lwów, Niedziela dnia 19. Maja 1878 r. **Tom VII.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

WZAJEMNA POMOC LITERATÓW.

Jeśli weźmiemy do ręki Kuryera z lat kilkudziesięciu i przejrzymy nekrologi pisane po śmierci literatów rozmaitego rodzaju, to znajdziemy tam fakta boleśne, które wzruszyć zdołają każdego człowieka... Ten umarł w szpitalu, temu trzeba było zebrać na pogrzeb składkę, ów zostawił rodzinę w nędzy, której przyjść trzeba z pomocą, żeby dzieci z głodu nie pomarły. Biograficzne notatki dodają, że X. straciwszy na stare lata wzrok, który sterał na usługach literatury, musiał pójść gdzieś na wieś na rezydenta, gdzie go wprawdzie poczciwi ludziska przygarnęli, ale gdzie bez przerwy czuł całą gorycz chleba jałmużnego. Dalej znajdujemy, że Y., który dzielnem piórem wspierał czasopisma literackie przez kilkadziesiąt lat z rzędu, straciwszy na starość swobodę umysłu, musiał przez ostatnie dnie życia siedzieć jako kancelista za biurkiem, żeby sobie zarobić na utrzymanie i dać chleb rodzinie... itd. itd.

Jeżelibyśmy zebrali dokładnie wszystkie fakta tego rodzaju, to utworzyłaby się długa litania przypominająca szpitale, jałmużny, składki, i t. p.

Czyż ci, którzy swym bliźnim dają światło wiedzy, którzy im dostarczają najczystszych, bo estetycznych roskoszy, na których pismach uczyliśmy się czytać, czyż oni nie zasłużyli na to, żeby po długiej i sumiennej pracy, mogli w starości mieć spokojne utrzymanie, a jeżeli nie tak dużo, to przynajmniej na to, żeby w razie nieszczęśliwego wypadku, choroby, kalectwa, mogli być spokojni, że przez czas, w którym zarabiać nie mogą, nie będą potrzebowali mrzeć z głodu i chłodu i wyciągać dłoń po jałmużnę.

Już tysiąckrotnie podnosiły się głosy publiczne w tej sprawie, lecz niestety, nigdy nie zdołano dojść do jakichś pozytywnych, zaradczych środków. Projektowano najrozmaitsze plany stowarzyszeń, pomocy publicznej, lecz zawsze dotąd natrafiano na przeszkody, których usunięcie przechodziło siły tych, którzy myśl podnieśli.

Największą zaporą w tej sprawie były nieszczęśliwe stosunki polityczne, które jak w każdej poczciwej sprawie, tak i tu kładły swą rękę gnębiącą. W tej części mianowicie kraju, która jest pod zaborem moskiewskim, a która jako ognisko życia umysłowego najwięcej pomocy tego rodzaju potrzebowała, zaporę polityczną najbardziej odczuto. Kilkakrotnie podnosiły się projekta założenia instytucyi mającej na celu wspieranie w razie potrzeby literatów, ludzie majętni a dobrej woli dawali nawet znaczne na ten cel fundusze, jednak zawsze rząd w stosownej chwili kładł swoje veto, przeciw któremu żadne argumenta nic nie zdziałają.

Nie ma nadziei, żeby w chwili obecnej można było tam urządzić coś podobnego, i dla tego zwrócić się należy do tej części kraju naszego, gdzie na drodze nie staną przeszkody polityczne i gdzie w ostatnich latach kilkunastu literatura tak silnie się rozwinęła, że zaczyna walczyć o pierwszeństwo z Kongresówką. W Galicyi znajdujemy wielką ilość czasopism, co chwila z młodzieży opuszczającej uniwersytet kilku bierze się do pióra i w ogóle świat literacki zaczyna przybierać dość szerokie rozmiary.

Otóż dotychczas, pomiędzy ludźmi pióra nie zawiązało się ani jedno stowarzyszenie, nawet takie, któreby tylko pomoc wzajemną w razie nieszczęścia miało na celu. To też przez krótki okres rozwoju literatury galicyjskiej mieliśmy kilka smutnych przykładów nędzy spowodowanej nieszczęśliwym wypadkiem.

Kilkakrotnie podnosiły się wprawdzie głosy w tej sprawie, w rozmaitych czasopismach, lecz zawsze kończyło się na projektach. Trudne początki, gdy trzeba walczyć z brakiem funduszów na najpierwsze potrzeby, odstraszały wszystkich od zajęcia się tą sprawą.

I rzeczywiście urządzenie takiego towarzystwa nie jest wcale łatwą rzeczą, szczególniej jeśli się je ograniczy do szczupłego koła jednego miasta a chociażby jednej dzielnicy kraju. Jeśliby się zawiązało np. towarzystwo wzajemnej pomocy literatów w Galicyi żyjących, to przewaga takich, którzy z dnia na dzień zarobionym chlebem żyją, a to co zarobią, zaledwie im na życie wystarczy, nad takimi, którzy dla siebie pomocy w razie nieszczęścia nie potrzebują, okazałaby się ogromną. Byłoby to stowarzyszenie ludzi, którymby odpowiednia potrzebom towarzystwa wkładka miesięczna, ogromną różnicę w ich codziennych potrzebach czyniła.

Ogromną znajdziemy różnicę, jeśli zwrócimy oko nasze na Warszawę. Tam literatura jest jedyną prawie strawą społeczeństwa, które u nas przeważnie karmione jest polityką. To też pokup na utwory literackie wyrobił się tam bezpośrednio większy, i przeważna większość literatów stoi stosunkowo w dość szczęśliwych warunkach. Tam takie towarzystwo bez porównania łatwiej i z zapewnionym skutkiem można byłoby założyć, chętnych by do tego ludzi nie zabrakło, a gdy projekt powstał, jakeśmy już o tem wspomnieli, to znalazły się odrazu znaczne fundusze, jednak nieszczęśliwe stosunki polityczne położyły koniec dalszej pracy w tym kierunku.

Otóż, ponieważ w ostatnich czasach kilkakrotnie poruszano u nas tę sprawę, wzywając do utworzenia tego rodzaju stowarzyszenia, widać więc jego naglącą potrzebę, więc zwracamy uwagę tych, którzy o tem myślą, na rzecz jedną, która skutecznie poprzeć musi dobry rozwój tej myśli.

Literaci mieszkający w Galicyi, sami nie zdołaliby może, w obec nie dość sprzyjających warunków finansowych, zdobyć się na środki zaradcze. Trzeba więc wciągnąć tych, którzy są za kordonem, a zdaje się, że to nie napotka na wielkie trudności, nawet ze strony rządu, gdyż jeżeli się takiemu towarzystwu odejmie zupełnie cechę polityczną, zostawiwszy tylko jedyny cel wzajemnego wspierania się, to należeć doń wolno będzie każdemu, jak wolno należeć do towarzystwa przyrodników, akademii umiejętności, asekurować życie w zagranicznych stowarzyszeniach i t. p.

Sądzimy, że jeżeli tę sprawę weźmie w ręce komitet złożony z ludzi dobrze znanych krajowi całemu, i jeżeli energicznie zajmie się tą sprawą, to nie tylko że zdoła wciągnąć wielką ilość ludzi pracujących piórem z za kordonu, lecz i te fundusze, które bądź przez zapisy, bądź przez ofiarę

osób żyjących są na ten cel przeznaczone, wpłyną do ogniska, któreby miało u nas siedzibę.

Nie podajemy w tej chwili żadnych ściśle sformułowanych wniosków, jednak upraszamy tych, którym sprawa na sercu leży, aby nam nadsyłali swe uwagi i projekta, których oddać pod publiczną dyskusyą nie omieszkamy. A jeżeli raz tę sprawę szczegółowo przedyskutujemy, to będziemy się mogli przekonać, czy takie stowarzyszenie jest w naszych warunkach możliwe, lub też czy trzeba je odłożyć ad feliciora tempora.

ZA WINY NIEPOPEŁNIONE.

POWIEŚĆ

przez

Michała Bałuckiego.

(Ciąg dalszy.)

II.

Z drugiej strony wieży był osobny pokoik, do którego dochodziło się z mieszkania Leszczyców przez wąski ganeczek. Kiedyś, dawniej, miała tu być podobno zbrojownia straży strzegącej murów klasztornych; później stało to mieszkanie długi czas pustką. Leszczycowa wprowadziwszy się do klasztoru, urządziła sobie tutaj spiżarnię; teraz zaś, gdy syn zawiadomił o swojem przybyciu, przeniosła swoje gospodarstwo na dół, pokoik odświeżono, wybielono, ozdobiono najlepszymi mebelkami, jakie Leszczycowie mieli w swojem mieszkaniu, aby synowi było wygodnie i przyjemnie.

Po wieczerzy, składającej się z potraw, które Jaś zwykle najlepiej lubił, oboje starzy odprowadzili syna do owego pokoiku za wieżą. Ojciec przyniósł mu gazety i książki pożyczone od księdza proboszcza; matka wypróbowała ręką posłania, czy jedynakowi będzie miękko na niem, postawiła słoik konfitur i ciastka przy łóżku, aby biedaczek miał się czem posilić w nocy, ucałowali go na dobranoc i odeszli.

Po ich odejściu zniknął z twarzy Jana wyraz zadowolnienia i radości, jaką okazywał w obec rodziców; westchnął głęboko, jakby to przymuszanie się do wesołości zmęczyło go, oczy jego jaśniejące przed chwilą uśmiechem, zasępiły się, zmatowały i rysy twarzy przeciągnęły smutkiem. Spojrzał po białych ścianach pokoju, przesunął ręką po czole i oczach, jakby chciał sobie przypomnieć, gdzie się znajduje i westchnął znowu. Potem uśmiechnął się cierpko i rzekł:

— Wszak sam chciałem tego? Dobrowolnie skazałem się na to wygnanie. Gdybym był chciał, mógłbym dziś wieczór być tam, widzieć ją. Nie, nie — zawołał zrywając się nagle i zaczął chodzić żywo po pokoju — dobrze się stało, że wyjechałem.

Niespokojne myśli pędziły go; pokój wydawał mu się za duszny, otworzył okno i stanął przy niem, chłodząc się nocnem powietrzem.

Okno wychodziło na dziedziniec klasztorny, na środku którego wśród czterech kasztanów stała studnia z kołem. Po jednej stronie dziedzińca było mieszkanie proboszcza z sadem, w którym bieliły się kwiaty na drzewach i roznosiły woń w powietrzu; po drugiej wznosiły się ciemne, poważne mury kościoła i widać było furtę klasztorną, obok niej koło, a dalej okno opatrzone gęstą kratą i kolcami. Z czwartej strony dziedziniec zamykał saski mur, przez który widać było okolicę. Księżyc właśnie wypłynął z za wzgórzy lesistych i odbił się metalicznym połyskiem na wężykowych zakrętach rzeki. Noc była cicha, urocza.

Jan jednak mało zdaje się widział i czuł piękności, które roztaczała przed nim noc czerwcowa. Stał oparty o ramię okna, machinalnie kręcił w rękach cygaretę i zamyślony patrzał gdzieś daleko oczyma duszy.

Już zegar na wieży odbił drugą, niebo na wschodzie przecierać się zaczynało, a on nie zabierał się do spoczynku. Chodził po pokoju, paląc jedną cygaretę za drugą, potem usiadł przy stoliku i pisał.

Był to list, list do jakiegoś Leona, w tych słowach:

„Zdziwił cię pewnie mój nagły wyjazd bez pożegnania. Nazwiesz to nowem szaleństwem; ale nie mogłem zrobić inaczej. Musiałem nagle, bez namysłu wyrwać się z tych jedwabnych więzów, w które zaplątało się biedne serce moje. Gdybym się był namyślał, może nie miałbym odwagi wyjechać a niepodobna mi było dłużej pozostać i być igraszką kapryśnej kokietki. Niech cię nie obraża ten wyraz, ale nie mogę nazwać inaczej Julii. Wiesz dobrze, że nie ja pierwszy zrobiłem krok do zbliżenia się ku niej. Nie byłem o tyle zarozumiały, aby uwierzyć, że córka możnego bankiera, do tego tak piękna, mogła dać mi choć odrobinę wzajemności za moją miłość. I to przeświadczenie nakazywało memu sercu milczeć. Ale ona sama ośmieliła mnie. Jej spojrzenia pociągnęły mnie, słowa dodawały odwagi, i odsłoniłem przed nią serce moje. Wtedy zauważyłem w niej dziwną zmianę, zaczęła się cofać, zdawała się nierozumieć miłości mojej, niechcieć rozumieć i rozpoczęła jakąś dziwną grę z mojem sercem, to chowając się przed niem w chłodną obojętność, to znowu wabiąc do siebie. Częste wizyty Adolfa pomagały jej bardzo do tego ciągłego drażnienia mnie. Z początku nie przypuszczałem, że mogę być zazdrosnym o tę lalkę z wystawy fryzyerskiej, ona sama, kiedym ją raz nim prześladował, wybuchnęła pustym śmiechem, a jednak postępowanie jej z nim nieraz było takie, że mogłem być szalenie zazdrosnym. Szczególniej wtedy, gdy byłem więcej czułym, gdy miłość moja silniej się objawiała. Julia szukała zwykle towarzystwa Adolfa, okazywała mu przychylność, która mnie do rozpaczy i wściekłości przyprowadzała. Dziwił cię nieraz mój humor zmienny, dziki, waryacki, wynikał on z tej ciągłej irytacyi wewnętrznej, w której mnie utrzymywało postępowanie Julii. Gdybym był przekonany, że kocha tamtego, byłbym spokojniejszy; duma nie pozwoliłaby mi żebrać o serce, które już nie byłoby moją własnością. Ale tej pewności nigdy mieć nie mogłem, bo ile razy zacząłem w to wierzyć i chciałem wycofać się, Julia umiała jednem słowem, czasem ruchem jednym zachwiać tę wiarę i znowu wracałem, aby zdobywać co chwilę i co chwilę trącić jej serce kapryśne, zmienne, nieodgadnione. Miałem wyjechać z Wiednia a nie mogłem, zwlekałem mój wyjazd, bo chciałem pierwej upewnić się, czy będę miał po co wrócić tam jeszcze, i pewności tej nie mogłem zyskać. Aż jednego dnia zdecydowałem się stanowczo, nagle. Było to przedwczoraj. Przyszedłem do ich domu przed wieczorem. Była w tej niebieskiej sukni, w której ją tak lubiłem widzieć, bo twarzyczka jej wśród tych błękitów nabierała kolorytu delikatnych miniatur na kości słoniowej. Byłem jej wdzięczny w duszy, że pamiętała o mojem upodobaniu. Nie mogłem jej także mieć za złe, że przysypała pudrem włosy i wpięła w nie różę na pół rozkwitłą; owszem cieszyło mnie, że chciała być piękną dla mnie i pochłaniałem ją spojrzeniem, pełnem miłości. Gdy naraz wśród rozmowy zdało mi się, że spojrzała na zegar, zauważyłem również, że była czegoś roztargnioną. Po chwili drugi raz rzuciła ukradkowe spojrzenie na zegar. Czeka na kogoś, pomyślałem sobie, i ta suknia błękitna, ta róża we włosach nie dla mnie. I zazdrość zaczęła mnie niepokoić. Pocieszałem się tem, że może oczekuje wizyty jakiej pani; gdy wtem weszła matka, ubrana już jakby do wyjścia i spytała zaciągając rękawiczki:

— O której Adolf miał przyjść po nas?

— O siódmej — odrzekła Julia unikając mego spojrzenia.

Nie pytałem się o nic więcej, pożegnałem je krótko i tego samego wieczora wyjechałem. Wyrwałem się gwałtem z tych miejsc, gdzie duch mój marniał w ciągłem szamotaniu się między rozpaczą i nadzieją pozyskania jednego serca, które może nie warte tego, abym dlań poświęcał moje obowiązki, cel mego życia. Potrzebuję pracować, chcę zrobić coś dla kraju, dla przyszłości mojej, dla szczęścia moich rodziców, musiałem więc uciec od tej, która nie tylko nie chciała mi być pomocą w urzeczywistnieniu celów moich, ale była tylko przeszkodą. Uciekłem pod skrzydła rodzicielskiej miłości i postanowiłem leczyć się oddaleniem, samotnością, z choroby serca. Biedni starzy, ani domyślają się, że ich dom obrałem sobie za szpital. O gdybyś widział, jak mnie witali tutaj, ile radości sprawiło im moje niespodziewane przybycie. Do łez wzruszyło mnie ich przywiązanie. A jednak... ta wielka, piękna, pełna poświęcenia miłość rodzicielska nie zdołała zapełnić tej próżni, jaką stworzył w mojem sercu wyjazd z Wiednia. Co więcej, powiem ci, że zaczynam żałować, iż zdecydowałem się na ten wyjazd; wyrzucam sobie, że postąpiłem zbyt gwałtownie, nierozważnie potępiając Julią za winę, o której ona może nawet nie wie. Widzę teraz, że posądzenie moje oparłem na tak błahych pozorach. A któż mi zaręczy, czy nie dla mnie właśnie chciała być piękną tego wieczora, czy nie dla tego była roztargnioną i niespokojnie poglądała na zegar, że wiedziała, iż przyjście Adolfa przerwie nam miłe sam na sam. Te wątpliwości obudziły się teraz dopiero we mnie i robią mi wyrzuty bolesne. Zły jestem na siebie samego za mój charakter podejrzliwy, zły jestem, że tu jestem i gdyby nie wzgląd na moich rodziców, jutro wróciłbym już do Wiednia. Dla moich rodziców nie mogę tego zrobić, spętany jestem przyrzeczeniem, że zabawię tu kilka tygodni, dopóki nie rozstrzygnie się sprawa o moją posadę. Kilka tygodni przepędzić zdaleka od niej, w tej przerażającej ciszy małej, nudnej mieściny. Sama ta myśl trwoży mnie; nie wiem, jak zdołam przemęczyć ten czas. Gdybym przynajmniej mógł z moimi starymi mówić o tem, co mnie teraz najwięcej, jedynie zajmuje; ale czuję, że nie odważyłbym się odkryć im tej

tajemnicy mego serca. Bo i cóżbym im powiedział o mojej miłości? Same wątpliwości, fata morgana, któremi łudziłem siebie. W obec ich trzeźwego poglądu musiałem rumienić się. Boję się, bym z ust ich nie usłyszał: ona cię nie kocha mój synu, i dla tego milczę, i mówię z nimi o wszystkiem, tylko nie o tem, o czem chciałbym; dlatego rozmowa taka męczy mnie, szukam samotności, bo w niej mogę przynajmniej swobodniej myśleć o niej.

Teraz domyślisz się dlaczego piszę do Ciebie? Chciałem pogadać z tobą o tem, o czem tu z nikim mówić nie mogę; a nadto chciałem zasięgnąć twojej rady. Ty znasz Julię od dziecka prawie, jesteś jej krewnym, z tobą ona może szczerszą, niż z innymi. Napisz mi, co myślisz o niej, czy miłość jej może dać szczęście, a przedewszystkiem, czy ja mogę sobie rościć jakie prawa do tej miłości? Ty jako patrzący spokojnie, bezstronnie, będziesz mógł lepiej osądzić, czy się łudziłem tylko. Napisz mi, jak przyjęła mój nagły wyjazd, czy Adolf bywa tak często jak dawniej i dużo, dużo innych rzeczy mi napisz. Każdy szczegół będzie miał dla mnie wagę. Nie oszczędzaj pióra i papieru, pamiętaj, że list twój będzie pokarmem dla umierającego z głodu na puszczy. Oczekuję go z niecierpliwością i trwożnem biciem serca."

Już słońce czerwono-złociste dobywało się z po za mgły porannej, kiedy Jan ukończył pisanie listu. Pisał go bowiem w przerwach, przy niektórych ustępach kładł pióro i zapadał w ponure zamyślenie, z którego budził go dopiero skrzypiący głos zegaru na wieży. Już po napisaniu listu namyślał się, czy go posłać; była chwila, w której chciał go podrzeć i tym sposobem pogrzebać na zawsze sprawę serca swego, ale wstrzymał się od tego i jakby bał się nowych pokuszeń w tym rodzaju, włożył prędko list do koperty, zaadresował i wyszedł z nim na pocztę. Wiedział, że pociąg o szóstej z rana przejeżdża w stronę Wiednia, poszedł więc prosto na stacyę kolei, by list dziś jeszcze mógł odejść. Obrał drogę nie przez miasto, ale przez boczną uliczkę, z której ścieżką pomiędzy ogrodami znacznie prędzej można było dojść do stacyi. Uliczka ta, ciągnąca się między wysokim murem klasztornym a parkanami ogrodów, była bardzo mało uczęszczana; o tej godzinie była zupełnie pustą. Idąc nią usłyszał po za jednym parkanem, otaczającym nieduży sad, głośny, przenikliwy krzyk kobiecy. Zajrzał przez szczelinę między deskami i ujrzał młodą jakąś dziewczynę śniadej twarzy, rysów oryginalnych, ubraną fantastycznie w biały turban przetkany złotem, z pod którego spływały krucze włosy, i w żółty atłasowy szlafrok, która odpychała od siebie mężczyznę usiłującego objąć jej kibić i przycisnąć do siebie. Dziewczyna wyrywała się całą siłą, na jaką się zdobyć mogła z rąk jego, i wołała o pomoc, choć mężczyzna usiłował zatkać jej usta i groźbą zmusić do milczenia.

Jan nie namyślał się długo, zaczepił się nogą w szczelinę przez którą obserwował tę scenę, chwycił się wyższych desek i w jednej chwili przesadził parkan spiesząc z pomocą. Na widok obcego człowieka, mężczyzna ów puścił w tej chwili dziewczynę, rzucił się w szybkiej ucieczce w ogród i znikł za drzewami. Jan chciał gonić za nim, ale dziewczyna zastąpiła mu prędko drogę i zatrzymując go rzekła:

— Zostaw go pan, niech sobie ucieka.

— To gotów wrócić znowu potem.

— Nie wróci, ja wiem pewnie, że już nie wróci tak prędko.

Jan czekał, aby mu dziewczyna wytłómaczyła powód tej napaści i powody prośby swojej; ale ona widocznie nie myślała o tem. Z obawy która przed chwilą twarz jej bladością pokryła, przeszła w zakłopotanie, znalazłszy się w rannem, dziwnem trochę ubraniu w obec obcego mężczyzny, który wpatrywał się w nią badawczo. Silne rumieńce wstydu oblały brzoskwiniową cerę jej twarzy, spuściła ku ziemi duże czarne oczy i bezwiednym ruchem zawiązywała szlafroczyk, który rozpięty w czasie szamotania się odsłonił hafty białej cieńkiej koszulki i piersi falujące szybkim oddechem. Jan stał jakiś czas nieśmiały, wpatrując się w nieznajomą, której twarz przypominała obrazy włoskich mistrzów, nie mogący sobie zdać sprawę z tego dziwnego zagadkowego zjawiska, ani wytłómaczyć sobie sceny, której przed chwilą był świadkiem. Chciał spytać jej o wyjaśnienie i nie wiedział jak zabrać się do tego. Gdy wtem w domku, który widać było za drzewami, brząknęło okno i jakiś głos chrapliwy, niemiły zawołał:

— Małka! Małka!

Dziewczyna poruszyła się na te słowa i spojrzała niespokojnie ku domowi, a potem zwracając się do Jana, rzekła zniżonym głosem z pośpiechem:

— Zrobiłeś mi pan dziś wielką przysługę, ale możesz popsuć wszystko, jeżeli nie będziesz milczał o tem, co tu widziałeś, bo mógłbyś zgubić mnie i jeszcze kogoś więcej. No przyrzekniesz mi pan to?

Prosiła tak wymownie czarnemi oczami, że Jan bez namysłu odrzekł:

— Przyrzekam.

— Dziękuję panu. Będę się za to modlić za pana, żebyś był tak szczęśliwym, jak jesteś dobrym.

Rzuciła mu spojrzeniem pożegnanie pełne jakiejś serdecznej życzliwości i zarumieniona pobiegła ku domowi.

Jan stał jakiś czas nieruchomy, odurzony. Nie mógł sobie jeszcze zdać sprawy z tego co się stało, co widział przed chwilą. Wyglądało to na jakąś bajkę z tysiąca nocy. Jakieś cudowne fantastyczne widziadło, piękność prześladowana przez jakiegoś tajemniczego człowieka, o którym mu milczeć kazano. Nie kazano, ale proszono i to proszono tak, że mu się gorąco robiło na wspomnienie tego błagalnego spojrzenia, jakiem go oblała piękna nieznajoma. Nie spodziewał się w tej małej mieścinie tak fantastycznej awantury. I otoczenie, w którem się ta scena odbyła, miało także swój urok. Był to sad kwitnący cały biało-różowo, wyścielony murawą majowej zieloności, na którą teraz przez drzewa lały się złote strumienie wschodzącego słońca. W powietrzu była woń kwiatów, brzęki pszczół i drobnych muszek; wśród krzaków bzu trzepotały się i świergoliły wesołe ptaki.

Janowi było tu jakoś tak dobrze, urok tajemniczości tak wiązał go, że nie myślał odchodzić. Tylko rozmyślał nad tem, co widział i słyszał, i oczekiwał, czy czegoś więcej nie zobaczy i nie usłyszy.

Za grządkami różnobarwnych bratków zobaczył ścieżkę wysypaną białym piaskiem, która wiodła do altany ocienionej dzikiem winem. W cieniu gęstej zieloności dojrzał stolik z białych gałęzi brzozowych, a na nim jakąś kobiecą robótkę porzuconą niedbale. Domyślał się, że może porzucono ją w chwili, gdy ów napastnik wszedł do altany. Miał ochotę iść zobaczyć tę robotkę, gdy wtem świst nadchodzącego pociągu przerzucił jego myśli w inny świat. Przypomniał sobie list, Wiedeń, Julię, wybiegł co prędzej z zaczarowanego ogrodu pełnego tajemnic, przeskoczył parkan i pędził szybko na kolej, by zdążyć na czas z oddaniem listu.

Przybiegł już po drugiem dzwonieniu i zaledwie miał czas wrzucić list do wagonu pocztowego, kiedy zadzwoniono po raz trzeci i pociąg ruszył. Jan stojąc przypatrywał się przejeżdżającym wagonom. Uderzyła go w jednem oknie twarz mężczyzny, który na jego widok cofnął się w głąb wagonu. Zaledwie miał czas jednem mgnieniem oka zachwycić rysy tej twarzy, ale to wystarczyło, aby poznał tego, od którego przed chwilą uwolnił piękną nieznajomę. Poznał go po rudym zaroście i węgierskim kapeluszu. A więc prawdę mówiła — myślał sobie wracając do domu, że nie prędko wróci. Tylko to mu było nie jasnem czy odjeżdżał tak prędko dla tego, że miał odjechać, czy też przyspieszył swój wyjazd wskutek obawy.

Nie łamał sobie jednak długo nad tem głowy. Chciał uszanować tajemnicę, bo go o to tak pięknie proszono, więc usiłował nie myśleć o owym rudym w węgierskim kapeluszu i udało mu się to bez trudu. Inaczej było, gdy chciał zapomnieć o śniadej twarzy i czarnych oczach pięknej Judyty, bo tak począł ją nazywać w myślach, i choć mu się teraz nie spieszyło wcale, obrał jednak do powrotu krótszą drogę przez ową pustą uliczkę. Miał nadzieję, że przez szpary parkanu ujrzy ją jeszcze. Ale ta nadzieja go zawiodła. Ogród był pusty, nawet robótki owej już nie było w altanie. Tylko ptaszęta wyprawiały harce po klombach i krzakach, zwodząc go szelestem.

Stał tak długi czas; wreszcie nie mogąc się doczekać, zabrał się do odejścia, zwłaszcza, że przez uliczkę zaczęli przechodzić ludzie w pole; stać więc dłużej nie wypadało.

Wróciwszy do domu zastał matkę pod drzwiami swego pokoju. Poczciwe matczysko na palcach skradało się pod drzwi podsłuchać, czy syn się nie zbudził, czy można mu podać kawę, która od godziny już czekała na niego. To też zdziwiła się nie pomału, gdy ujrzała syna już wracającego z miasta. Jan wytłomaczył swoje ranne wyjście potrzebą przechadzki i odetchnięcia świeżem powietrzem.

Podczas kawy brała go parę razy ochota spytać się matki o ową żydóweczkę z za klasztoru, ale nie wiedział jak się zabrać do tego. Trzebaby zaraz tłómaczyć matce, gdzie ją widział, przy jakiej sposobności. Mógłby powiedzieć za wiele, i dla tego wolał nie pytać się wcale. Postanowił sam odgadnąć tę zagadkę. Mogło to stanowić dla niego rodzaj rozrywki w monotonnem życiu, jakie go tutaj czekało.

(C. d. n.)

---

*

PAŃSTWO I JEGO GRANICE

STUDYUM PRAWNO-PAŃSTWOWE *)

przez

EDWARDA LABOULAYE.

Tłómaczył

JÓZEF SCHIFF.

(Ciąg dalszy).

Rozpowszechnienie w świecie lepszego pojęcia o państwie wymagało nowej religii. Ewangelia obaliła idee starożytności, a tem samem zadała cios dawnemu społeczeństwu, stwarzając czasy nowe. „Oddajcie cesarzowi co jest cesarskiego, a co boskiego — Bogu.“ Przypowieść tę powtarzamy często, nie domyślając się, że tem tak powszedniem dziś twierdzeniem zadano kłam polityce rzymskiej, wypowiedziano wojnę despotyzmowi Cezarów. Chrystus głosił rozdział tam, gdzie panowała wymuszona jedność; odtąd w tym samym człowieku trzeba było odróżniać obywatela od wiernego, szanować prawa chrześcianina, uginać się przed sumieniem osobnika Był to przewrót.

Nie pomylili się w tym względzie cesarze, a przedewszystkiem znakomitsi z pomiędzy nich. Ztąd to pochodził charakter prześladowań, charakter nie dość zauważony. Fanatyzmowi, srogości książąt przypisują przyczynę prześladowań. Nic bardziej mylnego. Zbrodnia była czysto polityczną. W imię państwa, w imię obrażonego zwierzchnictwa i praw pogwałconych więziono i zabijano chrześcian. Pomińmy tego potwora, wydającego na męki pierwszych wiernych, ażeby nienawiść gminu wylać na sektę pogardzoną, pomińmy, mówię, Nerona, a jacyż zostaną cesarze-prześladowcy? Czy Komodus? Przecież ten otoczon jest chrześcianami. Może Heliogabal? Ten myśli tylko o swej boskości syryjskiej. Czy Karakala? Toć pod panowaniem tego bratobójcy nie spotykamy wcale męczenników. Trajan, Marek Aureliusz, Sewer, Decyusz, Dyoklecyan, którzy krew chrześcian przelewają, to najmędrsi panujący, to rządzcy najwięksi. A dla czego? Oto dla tego, że za jakąbądź cenę chcą podtrzymać jedność państwa; otóż jedność ta jest bezwzględną. Obejmuje ona sumienie zarówno jak wszystkie inne, potrzeba jej człowieka w całości. Cóż zarzucają chrześcianom? Że są bezbożnikami, wrogami państwa, powstańcami burzącymi prawa. Oskarżenia te wydają się nam o tyle dziecinnemi, o ile niecnemi. Rzymianie uważali je za sprawiedliwe, w czem z ich stanowiska sądząc mieli słuszność. Chrześcianie byli ateuszami w znaczeniu praw rzymskich, ponieważ nie ubóstwiali bogów ojczystych, a innych starożytni znać nie chcieli. Byli nieprzyjaciółmi państwa, ponieważ cała policya cesarstwa opierała się na religii i na nieograniczonej uległości obywatela. Byli wichrzycielami, gdyż łączyli się potajemnie bez względu na prawa opiekuńcze, zabraniające wszelkiego rodzaju zebrań i stowarzyszeń. Zarzuty stawiane przez pogan chrześcianom, są te same jakie czyniono za Ludwika XIV. protestantom. W społeczeństwie, pod względem idei państwowej zbliżonem do społeczeństwa rzymskiego, protestanci uchodzili także za ludzi pogardzających religią narodową, kruszących jedność rządu, łączących się wbrew zakazom prawa, byli to wzgardzeni wichrzyciele, których sędzia posyłał na galery, niepowątpiewając o ich zbrodni. Czy pierwsi chrześcianie i protestanci w XVII wieku postępowali słusznie, nie ulegając prawu politycznemu? Powiadam, że tak, było to ich prawem i obowiązkiem, czynili zadość przykazaniom Ewangelii. Lecz urzędnicy państwowi rzymscy, czy francuscy nie rozumieli tego prawa, nie pojmowali tego obowiązku. Tak będzie zawsze, jeżeli państwo, pociągając wszystko za sobą, nie będzie chciało niczego uznać po za granicami swego zwierzchnictwa. Monarchia, czy rzeczpospolita, będzie to w każdym razie tyrania.

Prawdę powiedziawszy, owo pojęcie o państwie było tak ogólne i tak silne, że pierwsi chrześcianie zaledwie na pół powstają przeciwko gniotącemu ich prawu. Nie mają oni nawet pojęcia o reformie politycznej, któraby im przygotowała stanowisko w cesarstwie. Żądali tylko, ażeby zamknięto oczy na ich spokojne zebrania, słowem ażeby ich cierpiano, podobnie jak cierpiano żydów w wiekach średnich, jako lud upośledzony, o który się państwo nie troszczy. Tertulian jest przekonany, że gdyby cesarstwo rzymskie upadło, koniec świata by nastąpił. Łatwiej mu uwierzyć w przewrót wszechrzeczy, niż w przekształcenie rządu, który go samego gnębił. Orygenes legł, mniemam, pierwszym, który z odwagą i gieniuszem Greka w odmienny sposób spojrzał w oczy przyszłości. On jeden w swoim czasie śmiał przewidzieć, że chrześciaństwo może stać się religią powszechną, a ziemia i niebiosa się nie zachwieją.*)

Była to jedna z tych błyskawic, co zajaśniawszy gasną natychmiast wśród nocnych ciemności. Nikt nie podniósł głosu w obronie Orygienesa, nikt więcej nie zwątpił o wierności cesarstwa. Zwierzchność państwa była artykułem wiary politycznej nadto ustalonym. Idea ta zapuściła tak głęboko korzenie, że chrześciaństwo nie mogło nad nią odnieść zwycięztwa. Prawdę powiedziawszy, kościół nie popróbował go nawet. Kiedy Konstantyn, który chrześcianom winien był część swego powodzenia, przyłączył kościół do swej potęgi, jeden tylko Atanazy uczuwał, nie wiem dla czego, szlachetny niepokój i lękał się na widok urzędników prześladujących gwałtownie herezyę. Biskupi z radością weszli w szeregi zarządu cesarskiego. Po arcykapłanach pogańskich dziedziczyli oni przywileje, tytuły, zaszczyty, podobnie jak zabierali pogaństwu jego świątynie i zakłady; nic się nie zmieniło w państwie, było tylko kilku urzędników więcej, a nad nimi cesarz, rodzaj Janusa religijnego, a zarazem arcykapłana pogańskiego i biskup zwierzchni chrześcian. Proszę mię dobrze zrozumieć, bardziej aniżeli ktokolwiek, przyznaję, że chrześciaństwo zrobiło przewrót moralny, największy jaki tylko miał miejsce na świecie. Ewangelia rozprzestrzeniła na ziemi zasady i życie nowe. Żyjemy nim od ośmnastu wieków, a nie widzę ażeby te soki boskie miały osłabnąć; chcę tylko powiedzieć, że w czwartym wieku, kościół, hierarchia zajęły w państwie miejsce dawnego kapłaństwa pogańskiego, z kilkoma przywilejami więcej. Biskupi wkrótce stali się prawdziwymi urzędnikami publicznymi, nadzorcami urzędników, obrońcami miast, opiekunami biednych i uciśnionych, czasami także poddanymi bardziej, aniżeli życzliwymi i nadto uległymi pośrednikami boskiego Cezara. Niechaj nikt tu nie przytacza Ambrożego, odpychającego z przed kościoła Teodozyusza zakrwawionego jeszcze po spełnieniu ohydnej zemsty, nie wszyscy biskupi byli Ambrożym lub Atanazym. Przed chrztem swoim Konstantyn rumienił się z powodu nierozważnego i świętokradzkiego pochlebstwa pewnego biskupa, nieobawiającego się publicznie porównywać Cezara z synem boskim. Biskup ten aż nadto zostawił następców.

Byłoż to podłością duszy, zwykłą żądzą wyniesienia się, czy nie było to nadmiarem czci religijnej dla Cezara? Czy biskupi nie widzieli czasem w naczelniku państwa pośrednika boskiego, przedstawiciela Boga na ziemi? Czy to uczucie nie wytłumaczyłoby, bynajmniej go nie usprawiedliwiając, poświęcenia, które aż nadto często dochodziło do służalstwa? Przechylam się na stronę tego mniemania. Inaczej, jak pojąć ten ścisły związek władzy biskupiej z królewskością, związek, który przetrwał aż po nasze czasy? Bossuet niemniej daleko zachodzi jak biskupi byzantyńscy, a przecież był to umysł niezwykły. W gruncie stara idea zwierzchnictwa państwowego przybrała na się szatę chrześciańską, byle tylko panujący służył kościołowi i bronił zdrowych zasad, wszystko doń należy, zarówno dusza jak i ciało jego poddanych. Pod maską tą łatwo poznać bałwochwalstwo pogańskie, pogardę sumienia i ubóstwianie Cezara. Chcąc wiedzieć, jakie podobna teorya sprowadza niebezpieczeństwa dla religii, spojrzmy i obaczmy czem się stał kościół grecki. Od Konstantyna do Justyniana duch prawodawstwa się nie zmienia, cesarz nie czyni nic bez rady biskupów napełniających dwór jego. Do czego to doprowadza? Do służalstwa kościoła, służalstwa, które nigdy nie osłabło i które dziś można zbadać na wschodzie, a lepiej jeszcze w Rosyi.

Podczas gdy cesarstwo z każdym dniem rozwija wyniszczający je zarząd, barbarzyńcy zbliżają się i już niezadługo będą w pośrodku jego posiadłości. Bandy dzikie z łatwością się mszczą na społeczeństwie, które oddawna rozbrojone przez opiekuńcze państwo, nie objawia nawet chęci obrony. Barbarzyńcy ci przynoszą z sobą ideę nową, stanowiącą ich siłę. Mają zwierzchnika, pogardzającego tą niezwykłą machiną, wprawiającą w taki zachwyt nowożytnych. Nie pojmują one tego, co się dzieje u narodu, którego bronią lub rabują. Dla Rzymianina państwo jest wszystkiem, obywatel — niczem. Dla Germana państwo jest niczem, jednostka—wszystkiem. Każdy naczelnik rodziny osiada, gdzie zechce, *ut fons, ut nemus placuit*, rządzi domem podług swego widzenia, sprawiedliwość wymierzają mu równi i na odwrót on im takową wymierza, w razie wojny przystaje do wodza przez się wybranego, nie przyznaje innego zwierzchnika krom tego, któremu się oddaje w opiekę, płaci podatek tylko przy swym udziale ustanowiony i w razie najmniejszej niesprawiedliwości odwołuje się do Boga i do swego miecza. Jest to obalenie idei rzymskich, coś wręcz przeciwnego społeczeństwu cesarskiemu. U Germanów wolność nadzwyczajna, bezpieczeństwo — mierne. U Rzymian bezpieczeństwo bardzo wielkie, lecz prócz obawy panującego i jego ajentów, policyi czujnej i niespokojnej, nie masz żadnej wolności.

Dumna ta niepodległość trwała dość długo. Germanie, opanowawszy prowincye opuszczone wskutek słabości cesarskiej, przekształcili własność podług swego wzoru i chcieli ją uczynić swobodną na podobieństwo swoje. Podczas przewagi dwu pierwszych plemion, jakaż żądza pali możnych i kościół, który także staje się władzą

*) Orygenes, Przeciwko Celsowi. VIII, 68.

barbarzyńską? Żądza otrzymania przywilejów, tj. prawa rządzenia zaludnionemi przez licznych wasalów dobrami bez żadnego nadzoru. Sprawiedliwość, policya, podatki przywiązane są do ziemi i wraz z nią przechodzą z rąk do rąk. Feudalność jest tylko rozkwitem tego systemu, jest to pomięszanie własności ze zwierzchnictwem. Każdy baron jest panem swojej ziemi, wodzem na wojnie, sędzią podczas pokoju. Tylko względem niego wasale mają obowiązki, on jest zobowiązany tylko względem swego zwierzchnika lub króla. Tak więc bardzośmy się oddalili od cesarstwa. Nie masz centralizacyi, nie masz jedności, hierarchia zagmatwana. Na każdym szczeblu odmienne prawa, odmienne zobowiązania, wszędzie umowa, nigdzie państwo. Nie ma zarządu, nie ma armii, nie ma podatków, nie ma nic podobnego do systemu rzymskiego, ani też do nowożytnych naszych społeczeństw.

Wszelako zagmatwania tego nie należy brać za jedno z bezrządem. Bezrząd nie trwa przez pięć wieków, któryż to naród zniósłby go tak długo? Jakkolwiekbądź ohydnym pozostał w dziejach feodalizm, nie należy mu jednak przypisywać wszystkich klęsk czasu. Błędem jest powszechnym czepiać się upadłego urządzenia i zwalać nań winę wszelkich cierpień. Toć nic nie dowodzi, aby niewola miała być mniej srogą w królestwie nieograniczonem. Osadnicy rzymscy nie mniej byli deptani, jak niewolnicy w średnich wiekach. Rosya pokazuje nam chłopów-niewolników pod szlachtą bezwładną i samowładnym cesarzem. Przeciwnie zaś, państwo, w którem baronowie wzięli górę, Anglia była także pierwszym krajem, gdzie niewola osłabła i znikła. Zatem, w feodalizmie kryło się co innego niż despotyzm panów, soki użyźniające tok ten kryjący się pod przywilejem — to wolność. Inaczej jakże wytłumaczyć ten kwitnący stan trzynastego wieku, który porównać tylko można z najpiękniejszemi epokami w historyi? Sztuka nowa rodzi się i rozwija, poeci śpiewają, i narzecza ludowe zamieniają na języki nieśmiertelne. Francya, Niemcy, Anglia zapełniają się katedrami, klasztorami, zamkami. Bardzo krótkowidzącym, lub bardzo niesprawiedliwym jest ten, kto w tem odrodzeniu wszechrzeczy nie poznaje jedynej siły odradzającej ludzkość. (C. d. n.)

TRZY BITWY I ŚMIERĆ WODZA.

(Ciąg dalszy.)

III. Bitwa pod Szawlami w 1831 r.

Pod wieczór 6. lipca 1831 r. w Cytowianach zebrała się cała armia Giełguda z wyjątkiem oddziału Dembińskiego, znajdującego się w Radzwiliszkach. Regularne wojska wraz z oddziałami powstańców wynosiły około 19 tysięcy ludzi. Do miasteczka przybyło mnóstwo szlachty litewskiej, księży, akademików i włościan, byli tu i bogaci i ubodzy, kobiety i dzieci. Zgromadzenie takiej wielkiej ilości wojska i przybycie posiłków, ściągających się z różnych powiatów Żmudzi, wywołały radość i obudziły nadzieje przygasłe z powodu poprzednich niepowodzeń. Wszyscy wierzyli, że tu będzie koniec nieustannego odwrotu. Muzyka i śpiewy odezwały się w obozie; zewsząd wołano „naprzód, na nieprzyjaciela!“ Niestety! były to ostatnie konwulsye umierającego, ostatnie oznaki życia ekspedycyjnego korpusu Giełguda, bo przywódzcy dawno utracili wszelką wiarę w siebie i w swoje wojsko, upadli na duchu i zapomnieli o obowiązku.

Zebrano radę wojenną. Zniechęcony generał Chłapowski, bez wszelkiej ceremonii, zaproponował rejterować się do Prus. Wszyscy dowódcy byli tego zdania, że przeciągać walkę dłużej było rzeczą niemożliwą. Pod wpływem tego przekonania, na tejże radzie wojennej Giełgud napisał rozkaz dzienny do armii i odezwę do oficerów.

Rozkaz brzmiał tak: „W następstwie bitew, któreśmy przymuszeni byli stoczyć z nieprzyjacielem mającym przeważne siły, zastęp wojsk naszych zmniejszył się, a chociaż starałem się zapełnić luki nowobrańcami, doświadczenie jednak dowiodło, że nowobraniec, postępujący na służbę przymusowo, nie może nawet iść w porównanie z żołnierzem zahartowanym w tylu wygranych bitwach. Siły i środki nasze osłabły jak pod względem ilości ludzi, tak też i wskutek braku amunicyi. Nieprzyjaciel nasz, któremu codziennie przybywają posiłki, stał się groźnym swą siłą. Stanowcza bitwa, której wy, jako Polacy i prawdziwi synowie ojczyzny, pragniecie jest rzeczą niemożliwą. Przyjemnie lać krew za kraj swój, lecz należy przelewać ją ze sławą, pamiętając, że każda kropla powinna przynieść korzyść dla sprawy naszej. Powiedziałem, iż dla stanowczej bitwy nie mamy sił dostatecznych, lecz oddać się na łaskę wroga byłoby rzeczą przeciwną honorowi. Chcąc więc wybawić od pewnej klęski obrońców świętej ziemi naszej, odzywam się do was, koledzy broni, wzywając do nowych czynów w obronie Polski. Partyzantka może przynieść niezmierne korzyści dla kraju, w niej więc należy ojczyźnie szukać nowych dowodów poświęcenia się waszego. Pozwalamy każdemu oficerowi wybrać sobie żołnierzy i podoficerów do tego celu i z nimi przybyć do sztabu dla przedstawienia mnie swych zamiarów i pomysłów. Bez wątpienia przyjdzie szczęśliwsza chwila, a wtedy zawołamy z radością „Jeszcze Polska nie zginęła“ i podamy sobie ręce po bratersku, żeby stać się groźnymi licznym wrogom naszym. Ojczyzna znowu przyjmie na łono swe prawdziwych synów, a imiona wasze wyryte na kartach nieśmiertelnych z dumą będą wspominali dzieci wasze.“

Odezwa do oficerów brzmiała tak: „Okoliczności teraźniejsze nie pozwalają nam odważyć się na bój z przeważnemi siłami nieprzyjaciół; upraszam więc pp. oficerów życzących prowadzić partyzantkę, wybrać z pułków swoich ochotników, jakich zechcą, a z nimi wyruszyć w te strony, gdzie można najwięcej szkodzić nieprzyjaciołom, pozostając w ciągłych stosunkach z naczelnikami powiatów, w których będzie się toczyć wojna.“

Te dwie odezwy zdziwiły żołnierzy i oficerów. Zkąd ta niewiara w ludziach, którzy powinni byli drugich prowadzić do sławy? Co zamyśla robić Giełgud z tymi, którzy nie chcą prowadzić partyzanckiej wojny? Dokąd myśli ich prowadzić i jaką przyszłość im gotuje? zapytywał każdy. Nikt bowiem nie uważał, że sprawa jest tak zrozpaczona, szczególnie wobec słabych sił nieprzyjacielskich znajdujących się w Szawlach, które rozbić zdawało się rzeczą niezmiernie łatwą, szczególnie po wzmocnieniu sił głównych oddziałem Dembińskiego!

Dla tego też zamiary dowódzcy nie znalazły echa w piersiach żołnierzy, zebranych pod Cytowianami. Czuli się oni jeszcze dość silnymi do walki z wrogiem, dla tego też odezwy te przyjęte zostały z największem niezadowoleniem. Żołnierze otoczyli dom, w którym zebrała się rada wojenna i zagrozili śmiercią jenerałom, jeżeli nie poprowadzą ich do boju z Moskalem. Fizycznie i moralnie cierpiący Giełgud wyszedł do zebranych i dla uspokojenia ich klął się „honorem swym i grobami ojców“, że poprowadzi ich na spotkanie z wrogiem. Wojsko szemrać przestało, lecz żaden z przywódców już nie mógł uchylać się od walki. Groźne niezadowolenie wojska pokazało Giełgudowi i Chłapowskiemu, że nie poniosłszy ciężkiej klęski żołnierze, nie pozwolą rozbroić siebie.

Stosownie do ówczesnego rozrzuconego rozkładu oddziałów moskiewskich, Giełgud mógł powziąć jeden z następujących planów: albo forsownym marszem przejść na poniewieżską drogę, a połączywszy się z Dembińskim pobić Kabłukowa, który gonił za nim i w ten sposób stanąć na tyłach armii moskiewskiej, między nią a Wilnem, — wykonać to nie było trudno, bo Polacy nie mieli potrzeby przykrywać żadnej operacyjnej linii, — albo rozbić garnizon szawelski i zdobyć sobie drogę na północ i wschód. Drugi ten plan był gorszy, bo nie przedstawiał zbyt wielkich korzyści. Chcąc jednak podnieść ducha wojska łatwem zwycięstwem nad nieznacznemi siłami przeciwnika, a może być i dla tego, że Szawle były tuż pod ręką, rada wojenna zdecydowała się zaatakować miasto.

Miasto leży na wzgórzu, przykrytem od wschodu stawem i dwoma jeziorkami, połączonemi między sobą bagnistemi przestrzeniami, mającemi każda około 200 sążni długości. Pochyłości wzgórz zwróconych ku jeziorom są pokryte sadami i oddzielnemi grupami drzew. Wzdłuż grobli usypanej przez bagno, dzielące staw od pierwszego jeziora, idzie droga do Poniewieża. Brzegi jezior, niezmiernie bagniste, na północ graniczą z drogą do Mitawy, a z południowej strony łączą się z bagnami otaczającemi jezioro Rekiowskie. Na drodze do Poniewieża, na grobli, było kilka oddzielnych budynków i młyn wodny, a na pagórku, tuż około wieleńskiej rogatki, była reduta zbudowana dla piechoty i artyleryi. Z północnej strony znajdował się kamienny mur, otaczający ogród hrabiego Zubowa, a przed nim dość głęboki i szeroki rów. Z południowej i zachodniej strony miasto było odkryte zupełnie i nie przedstawiało żadnych przeszkód naturalnych lub sztucznych dla atakującego. Przy ataku z dwóch stron z zachodu i wschodu oddziały atakujące byłyby pozbawione łączności i nie mogłyby działać zgodnie.

Dowiedziawszy się o zbliżeniu Polaków, dowodzący moskiewskim wojskiem w Szawlach pułkownik Kriuków, zebrał radę wojenną, na której było zdecydowano bronić miasto do upadłego. Dla dodania odwagi żołnierzom kazano być na nabożeństwie, potem rozdano znaczną porcyę wódki, a muzykę rozdzielono na kilka części, kazawszy jej grać noc całą, a śpiewakom wojskowym śpiewać. Wojska stanęły na następujących pozycyach. Jeden batalion piechoty i kilkudziesięciu objezdczyków z granicznej straży i z dwiema armatami zajęli redutę na wileńskiej drodze. Drugi batalion z dwoma działami stanął na telszewskiej drodze; trzeci batalion 2go moskiewskiego pułku z dwoma działami — na mitawskiej drodze; czwarty batalion na północnej części miasta około jeziora i wiatraku; nareszcie

w rezerwie na rynku miejskim batalion piechoty i reszta kawaleryi. Obóz w czworobok postawiony, stanął także w rynku. Ulice zabarykadowano, a kościół, cmentarz i kilka murowanych domów zajęto strzelcami. Dla przykrycia dział zbudowano kilka ziemnych bateryi. Moskale mieli około 3 tysięcy ludzi.

Nicby jednak nie pomogło Moskalom wobec przeważnych sił polskich, żeby dowódcy umieli i chcieli na seryo prowadzić swych żołnierzy do boju. Obaczmy, co też oni zrobili?

Podszedłszy do Szawel, Dembiński oddział swój uszykował za tak zwaną „Słodką górą“, na niewielkiem wzgórzu znajdującem się z północnej strony drogi wiodącej do Wilna; potem pod przykryciem czterdziestu ludzi piechoty i szwadronu kawaleryi wyjechał naprzód dla zrekognoskowania miejscowości. Przekonawszy się, że pozycya z tej strony była bardzo mocna, a nie chcąc armatniemi strzałami ściągnąć Kabłukowa, idącego za nim powoli, Dembiński zamyślił manewrowaniem zmusić wrogów do wystąpienia z miasta. W tym celu pułkownikowi Brzezańskiemu z całą kawaleryą z wyjątkiem 13 pułku, kazał skierować się w prawo, żeby odciąć komunikacyą z Mitawą. Ruch ten miał być wykonany po wzgórzach, ciągnących się w prawo od drogi, żeby Moskale widzieli go i zrozumieli; w nocy zaś kawalerya miała wrócić nazad do oddziału.

Nie znalazłszy około Szawel ani Giełguda ani Rolanda i nie otrzymawszy żadnej wiadomości o kierunku, w którym poszli, Dembiński zaczął mocno niepokoić się o los oddziału swego, który mógł dostać się między dwa ognie. Miał więc ruszyć na południe ku Szawlanom, gdzie spodziewał się spotkać główne siły, lecz zatrzymał się jeszcze kilka godzin w nadziei, że Moskale sami wyjdą z Szawel. Cały obóz pod przykryciem batalionu Matuszewicza skierował w lewo od drogi ku Szawlanom, kazawszy mu ujść tylko wiorstę a potem zatrzymać się i oczekiwać dalszych rozkazów. Dla powstrzymania Kabłukowa kazał zdjąć most między Szawlami i Radziwiliszkami, zbudowany na wąskiej grobli usypanej wzdłuż błotnistej miejscowości i stanąć za nim jadącej piechocie i półszwadronowi kawaleryi z jednem działem; 26 zaś pułk był schowany z tyłu w lesie, w rezerwie za tym oddziałem.

(C. d. n.)

STUDYA ESTETYCZNE.

przez

WOJCIECHA DZIEDUSZYCKIEGO.

Sztuka Wenecka.

I.

Jeśli Florencya jest stolicą sztuki szukającej piękna w liniach, Wenecya jest stolicą nadobniejszej a mniej poważnej sztuki kolorystów. Źródłem natchnień florentyńskich były ruiny Rzymu i posągi w ruinach owych przechowane. Źródłem natchnień weneckich były Bosfor i bazylika świętej Zofii w Carogrodzie.

Dziwną jest piękność Bosforu. I Włoch, wjeżdżając doń, zapomni się z zachwytu, a jednak to piękność wcale nie włoska i nie klasyczna. Nie widać tu prawie skał o formach hardych i spokojnych, i tylko barwy rozłożyły się z niewidzianą gdzieindziej okazałością. Błękitne, południowe niebo znajduje jakby przedłużenie w morzu Czarnem i Marmora. A sam szumiący Bosfor jest jakby rzeką niebieską. Na brzegach dźwigają się miękkie góry, na których rozwija się cała gamma zieloności roślinnej. Tylko gdzieniegdzie wielkie żółte urwisko odbija się od ogólnego błękitnego i zielonego tła.

Krajobraz na lądzie cieszy oko niespodzianą rozmaitością przedmiotów. Tu gaj cyprysowy lub platanowy, tam pałac z białego marmuru, owdzie kościół lub meczet. Góry, choć nie przerażają groźnem pięknem, cieszą oko tysiącem różnorodnych świateł i cieniów. Samo nawet morze urozmaicone straciło na swojem bezbrzeżnym ogromie. Tu biały szczyt fali, tam mewa, delfin, lub wreszcie statek albo łódź cieszą oko wielkiemi płachtami białego światła i nieprzejrzaną rozmaitością. Jedność krajobrazu stanowi cała gamma kolorów, idących od błękitu po barwę ziemną przez całe stopniowanie rozmaitych zieloności. Jedności linii, jedności kompozycyi nie masz w Bosforze. Czar barw oczynia twe oko spokojem, a wyobraźnia twa buja bez wędzidła po pstrym tłumie najróżnorodniejszych przedmiotów, po pałacach i zamkach, po łodziach i kioskach.

Wśród tego krajobrazu wystawił cesarz Justynian powagą i prostotą zachwycający przybytek boży. Mówię o kościele św. Zofii, arcywzorze stylu bizantyńskiego.

Styl bizantyński bliski i czasem i duchem do stylu imperatorskiej Romy, podobnie jak on połączył kopułę i łuk z kolumnadą. Kolumnadę jednak cofnął do wnętrza gmachu, zewnętrze zostawiając krągłe i pozbawione ozdób. W organizacyi łuków postąpił o wiele, łącząc łuków więcej w misterną całość. Kolumnę zlał ściślej z całą budową, zastępując nią w wielu razach filar.

Porzuciwszy ogólniki przypatrzmy się lepiej budowie carogrodzkiej świątyni.

U wnętrza, wysoko nad głową widza zwisła olbrzymia złocista kopuła, abstrakcyjna, świetlana półsferyczna, zwieszona w powietrzu. Kopuła ta spoczywa na czterech olbrzymich łukach, tak śmiałych, że Rzym pogański o podobnych nie zamarzył. Krągłe zupełnie, ogromne, wyniosłe, zwiastują one nową epokę w sztuce. Spoczęły na czterech olbrzymich czworograniastych filarach, a mur nad niemi sklepiony staje się szerszym ku środkowi, przez co większy jeszcze ciężar zwisł śmiało nad powietrzem. Przecięcie kopuły daje tylko połowę wysokości gmachu, i ta harmonijna proporcya czyni kościół przestwornym, lotnym i śmiałym.

Po za wielkimi łukami rozciągają się krótkie ramiona greckiego krzyża. Ramion krzyża greckiego bywa cztery: jedno od głowy, jedno od stóp, a dwa od rąk, podobnie jak w krzyżu łacińskim, a nie jak w krzyżu prawosławnym. Tylko tu wszystkie cztery ramiona bywają jednakowej długości, podczas gdy w krzyżu łacińskim ramię od nóg dłuższe. Groziła tedy budowie nieznośna jednostajność, powstająca ilekroć wszystkie cztery strony niekrągłego gmachu są jednakowe. W krągłym gmachu ustępuje jednostajność owa przed kolistą zawrotnością, przypominającą nieskończoność. W czworograniastej budowie jednostajność rodzi nudę.

To też nie mało urozmaicił swój gmach bizantyński budowniczy, dwa przeciwległe sobie ramiona krzyża kolumnadami zasłaniając. Po każdej stronie bazyliki stoi po cztery marmurowe, smukłe, bizantyńskie kolumny. Kolumna bizantyńska bywa nie żłobkowaną i przypomina proporcyami swojemi kolumnę koryncką, której jest córą. Tylko głownica stała się podobną do czworobocznej piramidy, złożonej na węższy mocno stępiony koniec. Liście akantu już tylko jako arabeska nie wystająca lgną nieśmiało do ścian głownicy. Kształt tej kolumny mniej szlachetny od kształtu kolumny korynckiej, lepiej może za to służyć do dźwigania, byle niezbyt śmiałego łuku.

To też pięć bardzo małych łuczków spoczęło na kolumnach każdej ze stron św. Zofii. Większe łuki byłyby cięży, a i te starczą na to, by dźwigać belkowanie, a na belkowaniu po sześć nowych bizantyńskich kolumn o połowę mniejszych od kolumn pierwszego piętra. Nowych siedm łuków dźwiga trzecie piętro nie łuków już ale małych sklepionych okienek; wreszcie jeszcze jedno piętro pięciu okienek sklepionych kończy, tu już zwężającą się architektonikę łuczków, zapełniających otwór dwu wielkich łuków bocznych ramion krzyża.

Widzimy tedy, że i tu podobnie jak w Rzymie są piątra łuków, ale łuki tu zdrobniały i znikły wobec lotnego majestatu wiotkich kolumnad. Podobnie jak w Atenach, jest i tu kolumnada, ale brak prostego stropu odjął jej potęgi znamiona. Boki te nie są wcale silne, a zakrywając dwa boczne ramiona krzyża, czynią dwa boczne łuki ślepymi prawie, a przeto mniej potężnymi. Ale kolumny prócz rozmaitości i symetryi nadają jeszcze św. Zofii dziwnie muzykalną harmonię i świetlaną lotność.

Za bocznemi kolumnadami widać zwężające się sklepienie oparte u dołu o dwie kolumny i o trzy możniejsze już sklepienia. Te dwie do dolnych kolumn podobne kolumny i sklepienia owe zanurzone są w modlitewnym półcieniu, w którym człowiek może się domyślać przybytku tajemniczych duchów. Przez sklepione okienka górne płynie za to pełne światło dzienne, które spokojnie rozświeca złocone kopuły i sklepienia górnej części gmachu.

Za dwiema pozostałemi bramami sklepionemi, widać pełnem światłem rozświecone i złotem zdobne głowy i nogi krzyża. Tu rozciąga się w głąb świetlana przestrzeń sklepiona na całą wysokość bohaterskiej kopuły. Tu występuje pełna moc i lotność budowy.

Tu w głębi zwisły gdzieś wśród powietrza, po za świetlanym majestatem łuków głównych, trzy półkopuły złociste, trzy połowy nadpowietrznych hemisfer. Z jednej strony, od wschodu, widać pod niemi trzy bramy i troiste okna. Z drugiej strony ołtarz i przepiękne piętra nowych kolumnad rodzą i wzdłuż wielkiej osi miłą dla oka i myśli rozmaitość. Tu widać u dołu dwie kolumny i trzy łuki, a u góry cztery kolumny i pięć łuków. Kościół św. Zofii stanął u rozdroża między światem starożytnym a średnimi wiekami. Widać w nim już symbolikę nową, gmach związał się w krzyż, znak zbawienia, starożytna rzymska kopuła, wyniesiona wysoko po nad głowę, już jakby cudem zwisła w powietrzu, a mnogie kolumny pędzą ku niej do góry porwane modlitwą. Kopuła tu już symbolem Boga, a części harmonijne a mnogie budowy tworzącej krzyż, to członkowie Chrystusa, wierne owieczki kościoła, dążące do Boga w modlitewnym zachwycie. Po bokach widać mroczne cienie czyscowe, a w kopule, i w koło wielkiego ołtarza płonie spokojnie jasność niebieska. Wreszcie rój postaci mozaikowych zwisł był na polach złocistych okazującej na jawie uroczyste widzenia chrześciańskiej wyobraźni.

Ale to wszystko było jeszcze ujętem przez

umiejętną myśl starożytności. Wszystko było obmyślane, każdy szczegół tu konieczny. Kolumny drgają własnem życiem, ujętem złotą miarą, ład zapanował pod potężną kopułą, i liczby sakramentalne jawią się na wszystkich sklepieniach: trzy, pięć, siedm. Liczby te, choć mówią o tajemnicach wiary, zjawiły się tu sprowadzone przez ducha starożytnej helleńskiej harmonii. To liczby muzyki i piękna, nieparzyste a łatwo ujęte, podobne do symetryi, co w całym kościele zapanowała. I nigdy świat pogański nie zlał tak misternie szczegółów greckich z budową rzymską, nigdy wpierw tyle rozmaitych szczegółów w harmonijną całość nie złączył. Duch mądrego Bizancyum mógł się cieszyć owym cudem. Myśl nową wlał w stare kształty, a kształty owe tak powiązał z sobą cudnie, że stawiając gmach weselnej wiary, mógł okazać siłę niezużytą sedziwego rozumu.

Ale gdy barbarzyniec ze zdziczałego zachodu stawał na mozaikowej posadzce św. Zofii, nie rozumiał cichej harmonii liczb i misternego kunsztu budowniczego, ledwo pojął teologiczną symbolikę kościoła, a jednak stanął podziwem rażony. Nad nim płonęło złote świetlane niebo, okryte rojem barwnych postaci; sam bawił w pełnem, spokojnem rajskiem świetle, i drgał cały pod wpływem promieni; zdało mu się, że stanął wśród jaśniejącej niebiańskiej świetlicy.

Niegdyś w Atenach, później we Florencyi przemawiała sztuka do rozumu, użyczała myśli światła, prawiąc o ładzie, liczbie i ideale. Kościół św. Zofii o tem także Grekom prawił, lecz prostak Wenecyanin tego nie rozumiał. Kościół św. Zofii do niego innym językiem przemawiał. Dawał mu światło i barwę, mądrość oczu, i Wenecyanin rozumiał światło, radował się światłem, łaknął światła. I skoro dość skarbów nagromadził, zapragnął u siebie postawić podobne cudo.

Kościół św. Zofii wystawił grecki budowniczy Teodor w szóstym wieku. Nieznani mistrzowie dźwigali w czterysta lat później kościół Marka w Wenecyi.

Nie myśleli oni nawet o tem, by wystawić jedność i organizm budowniczy. Nikt by ich nie był zrozumiał, gdyby sami nawet do takiego wysiłku zdolni byli. Oczarować chcieli tylko i omamić, jak baśń jaka o złotym królewiczu.

Szczegółów pożyczono od św. Zofii, i chciano by były jak najbogatszemi. Nie umiano jednej wielkiej kopuły postawić, postawiono tedy aż pięć złotych kopułek, z których jedna niby u środku, a tamte u kończyn krzyża. Każdą oparto o krągłe łuki, podobne do carogrodzkich, ale już nie tak potężne, i łuki te ozłocono. Każdą uczyniono niby środkiem osobnego kościoła i osobnego krzyża, a niskie bizantyńskie kolumnady, które nic nie dźwigają, ustawiono wśród łuków na mozaikowej posadzce. Mury do połowy z szarego marmuru wykonano, a powyżej okryto pozłotą; tysiąc postaci mozaikowych utworzono na złotem tle; wielki ołtarz ustawiono na wywyższeniu otoczonem osobną balustradą, poustawiano mnogie posągi, marnowano drogie kamienie, większą część kościoła pozostawiono w szarym mroku, wpuszczając światło za pomocą dwu olbrzymich okien okrągłych, z których jedno stanęło u wchodu, a drugie u lewego ramienia krzyża. Światło wpada przez niewielką falę, i gubi się wnet wśród mięszaniny barw, i ledwo świta gdzieniegdzie na pozłocie, tworząc błędne tajemnicze ogniki. Ciemno tu, duszno i straszno, ale bogato i pysznie. A gdy klękniesz na wspaniałej posadzki wzorze, przy kręconej kolumnie z przezroczystego alabastru, koło cudnie rzeźbionych świeczników, a chcąc ujść z pod gnietących sklepień i z ciasnych krużganków, spojrzysz do góry, ujrzysz nad sobą kopuły rozświecone przez małe okienka, a na płonącem złotem tle, liturgiczne, nieznikome, uroczyste mozaikowe postacie aniołów, co skrzydła rozwarły i miecze dźwignęły, stojąc w barwnej jaskrawości, przez wieki nieruchome..

Nie masz tu greckiego ładu, nie masz rzymskiej przestworności, nie masz idealnej, rozumowej mistyki późniejszej Toskany, i człowiek wykształcony, znawca, estetyk, chodząc po kościele Marka głową tylko potrząsa, darmo szuka całości, ledwo może się myśli dopytać. Powie, że to gmatwanina duszna, dziwna, barbarzyńska, i nie cofnie swego sądu. Inaczej prostak, inaczej sądził nieuczony pielgrzym w średnich wiekach. Dla niego był kościołem nad kościoły ów przybytek, gdzie tyle dziwnych cudów nagromadzono, gdzie widziano agat wielkości ananasu, ustawiony nad dziwną kazalnicą, gdzie było mozaik bez końca, gdzie stały kolumny ze starej Salomonowej świątyni, gdzie wreszcie złote antypedyum wykładane drogiemi kamieniami zadziwiało w dni świąteczne. Radowało się jego oko złotą cerkwią, gdzie się tyle barw mieniło.

Zdaje się, że św. Marek tworzył niegdyś na zewnątrz niezbyt wysoki a szeroki krzyż grecki o sklepionym dachu, na którym się wznosiły niskie a nie pokaźne kopuły. Każde z ramion krzyża owego kończyło się murem prostopadłym, a całość miała pozór szarego pudła marmurowego.

Tej ponoś bardzo niepokaźnej budowy dziś zupełnie nie znać, gdyż wieki otoczyły kościół św. Marka rozmaitymi budynkami, na których można śledzić krok za krokiem romanizm, gotycyzm i odrodzenie weneckie. Wszystkie epoki najświetniejsze swoje dzieła do Marka przybudowywały, i wszystkie żyły duchem wiejącym ze starej bazyliki. (C. d. n.)

POGADANKI O WŁOSZECH

Olgi hr. Komorowskiej.

IV.

(*Ciąg dalszy.*)

W miastach, gdzie życie rodzinne z powodu kobiet jest już nieco bardziej umysłowo rozwiniętem, znajdziesz natychmiast różnicę wybitną, a tą jest zmniejszona liczba kawiarń, wieczorami pustych prawie. Jest to nieomylnym znakiem, że mężczyzna poczyna smakować na łonie rodziny, a przyjaciół i towarzyszy zaniedbuje dla żony i dzieci. Genua należy do tej liczby, podczas kiedy Rzym, Florencya, Neapol, Palermo, są przepełnione tego rodzaju zakładami, do wszelkich wymagań i funduszów zastosowanymi. W takich kawiarniach pije się wprawdzie nie wiele, gra jedynie w warcaby, domino, gwarzy z przyjaciółmi dla spędzenia czasu, o sprawach handlu, bióra, o polityce, wyborach i wszystkich innych nowostkach; gwarzy bez ceremonii, bez względu na nic i na nikogo, ale te karczemne nieco wyrazy, mowa, ton głosu, zwyczaje, mimowolnie wkradają się do domu, jak dym cygar i tytoniu woń ostra, kryjąc się w fałdach odzieży.

Czem są dla mieszkańców większych miast kawiarnie, tem bywają jeszcze dotąd w mniejszych apteki. W takich trzeciego rzędu mieścinach całe życie publiczne tam się koncentruje; a około ważnej, głównej gwiazdy pana aptekarza, gromadzą się wszelkie znakomitości całego koła towarzyskiego. Lekarz miejscowy przyjmuje tam chorych, zapisuje recepty, i często pomaga uprzejmie koledze w Eskulapie do przyrządzania środków uzdrawiać mających. Pan syndyk nie gardzi wychylić szklaneczkę tamarindu w lecie, a pączyku wonnego w zimowe wieczory; towarzyszą mu nieodstępnie satelici, jak pan poczmistrz, delegat bezpieczeństwa i rachmistrz; partyjka się urządza, bo obok apteki znajduje się pokój przeznaczony dla gości, gawędką lub kartami zająć się pragnących. Właściciele z okolicy, dzierżawcy, nauczyciele szkół niższych, także tam ciekawie zaglądają, najprzód dla tonu, tak jak elegant wielkoświatowy do klubu, aby pokazać drugim, iż ma wstęp; a potem, aby spojrzeć w twarz tak ważnych osób. Częstokroć sprawy urzędowe nawet tam się załatwiają, razem z zawijaniem skaleczonych palców, rwaniem spróchniałych zębów, szczepieniem ospy niemowlętom; wszystko odbywa się wesoło, tłumnie, zgodnie, a sam aptekarz bierze udział w dziesięciu naraz sprawach najsprzeczniejszej chociażby natury. Gładzi, fuka, pieści, napomina, uśmiecha się, klnie, doradza, waży, zawija, lepi, tłucze w moździerzu, wypytuje o zdrowie, kupuje, sprzedaje, mienia, swata, godzi, jest wszędzie od razu przytomnym, duszą całego ruchu, osią, około której obraca się z odurzającą szybkością ta skomplikowana maszyna spraw publicznych całej mieściny. Tam również udają się służbodawcy dla wyszukania sług, a ci dla wynalezienia miejsc.

Stanowisko sług w rodzinach włoskich, dawniej podług naszego mniemania było więcej naturalnem, a dziś i tu zaczyna brać kierunek ogólnie w świecie przyjęty, dziwną chęcią naśladowania wprowadzony ze szkodą dawnych tradycyi, które dobrze zrozumiane i zastosowane do wymagań czasu, mogłyby były wywrzeć wpływ wyśmienity na niskie i ubogie warstwy towarzyskie.

Przed dziesiątkiem lat zaledwie wszędzie, a do dziś jeszcze w wielu bardzo rodzinach, słudzy są uważani lepiej niż w innych krajach, język włoski posiada zbiorową nazwę służby jednego pana „famiglia" rodzina.

Panuje tam patryarchalna poufałość, nic podle uniżonego, nic niewolniczego, ale szacunek i cześć człowieka nierównego wychowaniem i mieniem w obliczu praw ludzkich i boskich bliźnim będącego. Pan domu z męską, pani z żeńską służbą, obchodzą się bez wyjątku prawie łagodnie, po ludzku, przyjaźnie. Fukanie, podniesienie ręki chyba w razach wielkiej wagi słyszeć i widzieć się daje, ogólnie kończy się na uwadze wypowiedzianej poważnie, surowo, lecz bez krzyku i łajania obrażającego. Dzieciom bez wyjątku stanu służba mówi „ty", „mój aniołku", „moje życie" a dziatwa książęca, hrabiowska nie obraża się tem wcale. Płaca jest stosunkowo niewielką wprawdzie, ale za to całe utrzymanie jest wyśmienite. Jadło bez różnicy w gatunkach ryżu, chleba, ciasta, mięsiwa, od tych co na stół pański przychodzą; tak samo piją wino, tak samo jedzą owoce; wino będzie tańsze, owoce mniej doborne, ale zupa, smażenina, sałata są równe dla państwa i sług.

W klasach średnich jedyna zwyczajnie ko-

bieta jest całkowicie towarzyszką pani; po skończonej pracy zasiada z nią czy do ręcznej roboty czy na drzemkę, wychodzi na przechadzkę, do kościoła razem, je przy jednym stole, gwarzy wesoło i bierze udział w sprawach rodziny. Dzieciarnia słucha i poważa jak matkę, a jeśli czasem niesforny chłopak lub rozgrymaszona córeczka, ośmielą się czynnie wystąpić przeciwko słudze, ta nie odnosząc się do nikogo osobiście karze małych przestępców, czemu nigdy nie opierają się rodzice, chyba przekonani o niesłuszności. Chorych jak mogą w domu pielęgnują, starych nieraz niedołęgów trzymają w powadze i czci za długoletnie usługi w rodzinie. Słowem, nie jest tu stan służebniczy niewolą egipską, ale dobrowolnym układem ludzi niezbędnie jednych drugim potrzebnych. Niestety, w niektórych więcej cywilizowanych miastach półwyspu poczyna ten dobry zwyczaj zacierać się po mału; Szwajcarzy wciskają się licznie, niosąc za sobą chciwość, przedajność, wpajają w swych towarzyszy jakieś chorobliwe żądze zmiany miejsc, służbodawców, a wyśmiewając niską płacę, przywiązanie i dawne zwyczaje, psują służbę i panów.

To co uderza a czasami niecierpliwi cudzoziemca, poufałość sług włoskich, nie jest brakiem uszanowania, lecz wynika jedynie ze zwyczaju; nie powinnoby więc razić rozsądnych, a zadziwiać tylko, że wśród Europy, goniącej za wolnością tak chciwie, coś się jeszcze z dawnych, dobrych rzeczy zachować mogło. (Dok. nast.)

DALEKIE ŚWIATY.

POGADANKI NAUKOWE

przez

BRUNONA ABAKANOWICZA.

NA KSIĘŻYCU.

Co się dzieje na naszym najbliższym sąsiedzie?

(Ciąg dalszy.)

Lecz wróćmy jeszcze do przypatrywania się niebu. Najbardziej uderza nas w oczy wielka, nieruchoma tarcza, przypominająca nasz księżyc widziany z ziemi, lecz o średnicy cztery razy większej. Jest to księżyc księżyca, nasza stara ziemia. Jakby przybita do firmamentu stoi zawsze na jednem miejscu, gdy tymczasem wszystkie inne gwiazdy przesuwają się po niebie po za jej tarczą. Przyczyna tej nieruchomości leży w tem, że księżyc zawsze ma ku nam jednę i tę samą stronę zwróconą. Już w starożytności odległej zauważono, że wszystkie plamy, które na księżycu widzimy, że wszystkie różnice cieniów na jego tarczy pozostają prawie bez zmiany, że księżyc zawsze ku nam obraca jednę swą półkulę. Pochodzi to od dokładnego uregulowania obrotu księżyca około swej osi tak, że przy jednorazowym obiegu o koło ziemi obraca się on jeden raz około swej osi. Jeżeli sobie wyobrazimy balon odbywający w pewnej wysokości podróż na około ziemi, to będziemy mieli wierny obraz biegu księżyca, gdyż tak jak balon zawsze będzie ku ziemi zwracał dno swej łódki, tak też i księżyc zawsze będzie zwracał ku ziemi jednę swą stronę.

To wieczne ukrywanie jednej swej części przed okiem ludzkiem dawało fantazyi średniowiecznych uczonych wielkie pole do robienia najrozmaitszych przypuszczeń o tem, co się na drugiej stronie księżyca znajduje. Robiono najdziwaczniejsze przypuszczenia jak np., że cała woda na księżycu przeniosła się na drugą półkulę i tworzy tam ogromne morze, że po drugiej stronie jest zagłębienie i księżyc ma kształt wypukłej ku nam miski itp. inne nie wytrzymujące żadnej krytyki.

Taką więc wielką, nieruchomą gwiazdą, przedstawia się nam z powierzchni księżyca nasza ziemia; mieszkańcy księżyca, gdyby w takich warunkach mogli jacykolwiek istnieć, widzieliby ją co chwilę zmieniającą kształt od sierpa wąskiego do pełni. Jakiż cudowny widok musi przedstawiać wśród nocy księżycowej kula taka wielka jak ziemia nasza w czasie pełni. Na jej powierzchni dokładnie zarysowują się wszystkie części świata i jeden po drugiej przesuwają się przed oczami. Dajmy na to, że właśnie widzimy przed sobą Europę, o mocno zagłębionych nie regularnych konturach, a pod nią zwróconą ku południowemu biegunowi Afrykę. Powoli obie części zwracają się na wschód, posuwają się zwolna w tym kierunku, na środek tarczy wchodzi ocean Atlantycki, potem za kilka godzin Ameryka, dalej ocean spokojny, nareszcie Azya i Australia, a w końcu znowu po dwudziestu czterech godzinach Europa. Wiemy bowiem, że na 24 godzin ziemia obraca się raz około swej osi.

Z powierzchni księżyca zdaje nam się, iż kula ziemska nadzianą jest na jakąś oś nieruchomą, około której zmuszoną jest obracać się z szybkością jednego obrotu podczas jednej doby.

Mieszkańcy księżyca nie potrzebowaliby wcale zegarków, gdyż mają zegar niebieski, którym jest nasza ziemia. Lecz tarcza tego zegara nie jest zawsze jasną i nieraz zasuwa się na wielkiej przestrzeni plamami nieprzezroczystemi. Są to obłoki, których księżyc, jak zawsze oryginalny, nie posiada wcale. Ani we dnie, ani w nocy żadna chmurka nie zakrywa mu nieba, bo nie ma wody, z której chmurki takie powstawaćby mogły. Przez całą noc na księżycu rozchodzą się z jego powierzchni promienie cieplikowe w przestrzeń międzygwiaździstą. Żadna okrywa tych promieni nie powstrzymuje, nie ma obłoków, któreby je odbijały i dla tego też przez długą noc księżycową, trwającą 354 godzin, temperatura spada niesłychanie, zniża się do stu kilkudziesięciu stopni niżej zera. Żadna istota ziemska nie zdołałaby znieść tej temperatury.

Jak księżyc naszej ziemi, tak też i ziemia przyświeca księżycowi podczas jego długich nocy. Lecz blask ten jest bez porównania silniejszym, możemy bowiem sobie wyobrazić o ile światła słonecznego więcej odbija tarcza mająca średnicę 4 razy większą. Oświecenie to powierzchni księżyca przez naszą ziemię jest tak silnem, że je nawet od nas widzieć możemy; wpatrzywszy się dobrze w księżyc, kiedy ma formę sierpa, możemy resztę jego powierzchni ujrzeć w szarem oświetleniu. Jest to światło, które księżyc otrzymuje od słońca za pośrednictwem ziemi działającej w tej chwili jak źwierciadło. Że to jest faktem, przekonano się z tego, że to oświecenie było różnem, stosownie do tego, którą stronę obracała ziemia ku księżycowi. Jeśli naprzykład naprzeciw księżyca stoi ocean, to wtedy oświecenie jest słabem, jeśli zaś Sahara albo wielkie płaszczyzny, pokryte w zimie śniegiem, to oświecenie jest daleko silniejsze.

Opierając się na tego rodzaju obserwacyi, Castelli, jeden z przyjaciół wielkiego Galileusza, zdołał jeszcze w r. 1637 odgadnąć istnienie i przybliżony rozmiar kontynentu australijskiego, gdyż widział wzmocnienie się światła szarego na księżycu, gdy część kuli ziemskiej z Australią była ku naszemu satelicie zwróconą.

Na początku naszego opowiadania zrobiliśmy przypuszczenie, iż zdołaliśmy się przenieść na powierzchnię naszego towarzysza i tam stoimy niedaleko od środka jego tarczy, w miejscu, dla którego ma niebawem nastąpić wschód słońca, które da znak, że dzień się rozpoczął. A dzień to bardzo długi, bo trwający przez 354 godzin. Nic nam nie oznajmia zbliżenia się gwiazdy dziennej, nie ma brzasku, nie ma owego półświatła poprzedzającego jasność dzienną, na firmamencie czarnym jak heban nie pokazuje się od strony wschodniej najmniejszy ślad jasności, niebo nie zabarwia się tak jak u nas różaną zorzą poranną, bo, jakeśmy to mówili, nie ma na powierzchni księżyca żadnej prawie atmosfery. Raptownie z po za horyzontu wysuwa się wierzchni kraj słońca i wysyła swe ciepłe promienie na gór szczyty, powoli (znacznie powolniej niż na ziemi) podnosi się w górę, lecz żadnej zmiany barw na niebie nie widzimy.

Przed ukazaniem się słońca nie ma zmroku, gdyż jak wiadomo, zmrok jest zjawiskiem atmosferycznem. Pochodzi on od odbicia się i rozproszenia promieni słonecznych, od drobnych cząstek, z których się składa powietrze. Na ziemi naszej zanim ujrzymy słońce, już jego promienie padają na górne warstwy atmosfery i odbite tam częściowo, padają na ziemię i tworzą zjawisko zmroku. Nie ma też, jak to wspomnieliśmy, przy wejściu słońca i zorzy różanej, która także powstaje skutkiem tego, że w pewnych warunkach powietrze pochłania wszystkie promienie barwne, a przepuszcza tylko czerwone. Na księżycu nie ma tego i promienie słońca wszystkich barw dochodzą do jego powierzchni i dają tam jaskrawe, niczem nie przyćmione białe światło. Promienie słońca z niezwykłą siłą uderzają o skorupę księżyca, nie ma bowiem ani warstwy powierzchnej ani pary wodnej, któreby zdołały złagodzić ich ciepło i jasność. Słońce pali niezmiernie i oświeca tak jaskrawo, że żadne ludzkie oko nie zdołałoby znieść jego promieni.

Lecz jeszcze bardziej przyczynia się do podniesienia tej jaskrawości czarna zupełnie barwa nieba. Mimo, że słońce weszło, niebo nie przyjmuje, jak u nas błękitnej barwy, lecz ma ciągle niezmienną, czarną, wiadomo bowiem także, że i błękit nieba naszego ziemskiego powstaje wskutek rozproszenia się promieni słonecznych w powietrzu. Gdzie nie ma powietrza, tam nie mają promienie słoneczne czego oświecać, nie mają się od czego odbijać i bez najmniejszej przeszkody dochodzą do samej powierzchni.

Lecz na tem dziwnem, czarnem niebie, na którem zwolna się porusza tarcza słoneczna, widzimy zupełnie tak jak w nocy, rozrzucone gwiazdy, iskrzące silnem światłem i towarzyszące słońcu w podróży przez niebo. Na ziemi, u nas, powietrzna zasłona ukrywa te gwiazdy przed naszemi oczyma, na księżycu nie ma takiej zasłony i dla tego nigdy gwiazdy tam z nieba nie znikają, tem bardziej, że nigdy najmniejszy obłoczek nie zmąci czarnego, i bez przerwy gwiazdami iskrzącego się nieba.

Jakiż dziwny, przejmujący widok musi przedstawiać wśród grobowej, niczem niezakłóconej ciszy, to czarne jak heban, zawsze czyste niebo, ze słońcem jaskrawem i jednocześnie z myriadami gwiazd rozsypanych po firmamencie!

Lecz wróćmy znowu do chwili, kiedy słońce

wschodzić zaczyna i przypatrzmy się powierzchni księżyca przy dziennem oświetleniu. Dajmy na to, że stoimy na jakiemś miejscu wyniosłem, z którego wygodnie bardzo obszernemu krajobrazowi przypatrywać się możemy. Naprzód oświecać się zaczynają wierzchołki gór i widzimy je wtedy jako jasne, niezmiernie jasne punkta występujące z zupełnej prawie ciemności otaczającej podnóża. Na tem czarnem jak smoła tle cieniów, tem jaskrawiej odbijają miejsca oświecone, i to tem więcej, że nie ma powietrza, któreby złagodziło jasność słoneczną, lub zmniejszyło siłę promieni odbitych. Tymczasem słońce podnosi się coraz wyżej i wyżej w swojej wędrówce po firmamencie, coraz więcej wierzchołków występuje z ciemności i coraz niżej ustępują cienie, odkrywając coraz niższe części gór, aż nareszcie i podnóża zostaną oświecone.

Przedstawia się nam wtedy obraz tak dziki, obraz takiego zniszczenia, spustoszenia, braku życia, o jakim my na ziemi mieć nawet pojęcia nie możemy. Skały piętrzą się jedne nad drugiemi do olbrzymiej wysokości, jak gdyby pozrzucane były umyślnie przez jakichś Tytanów. Jedne na drugich wznoszą się olbrzymie kratery wygasłych wulkanów, widzimy całe szeregi olbrzymich wałów, wyszczerbionych, poprzerywanych, widzimy góry niebotyczne o spadkach niesłychanie stromych, stojących jakby jakieś niekształtne olbrzymie obeliski. Słowem mamy przed sobą obraz kolosalnych przewrotów, których księżyc był świadkiem, za swych lat młodocianych. Dziś pozostały tu same pustki, żadna roślinka nie pokrywa skał dziko się piętrzących, widać wszędzie zupełny spokój śmierci. (C. d. n.)

Krzyż zasługi

(Z powieści żołnierza.)

...Nie matko, ty się nie ciesz tą syna zasługą!
Ten krzyż na piersiach cięży, choć jest męztwa znakiem,
Weź go matko, weź — proszę... i schowaj na długo!
Ja go nosić nie będę.
Przed samym atakiem
Marzyłem tylko o tem, by na krzyż zarobić
I zyskać sobie sławę w bohaterskim czynie —
I młodą pierś odznaką męztwa przyozdobić.
Dziś — on mi się spuścizną zdaje po Kainie...

O matko moja, czemuż tak wąziutka miedza
Dzieli szczęście od troski i czemu wyprzedza
Radość, łzy gorzkie nieraz, co bez naszej winy
Gaszą nam często w życiu dzień szczęścia jedyny!
Dziwnie się w pasmie życia wiążą nitki długie —
Jasne i ciemne razem... a jedne i drugie
Z ręki Boga się snują; toż snać. on wie o tem
Dlaczego czarną przędzę miesza wspól ze złotem!

Ot, widzisz matko, ze mną to rzecz tak się miała:
Było to w dniu ostatnim już naszego boju,
Właśnie co grać zaczęły piorunami działa
Świt budząc, bo noc jakoś przeszła nam w spokoju,
Lecz skoro blask jutrzenki rozlał się po łące —
Huknęło paszcz armatnich ku wschodowi tysiąc,
Jakby chciały odstraszyć przebudzone słońce.
Dym i mgła się szarpały... Można było przysiądz,
Że nad ziemią, co ludzką krwią się oblewała,
Piekielnych mar i duchów druga walka wrzała.
Mieliśmy zdobyć szańce.
Ja z moim plutonem
Stałem na samym flanku; mój kapitan stary
Klął i spoglądał czegoś okiem zasmuconem.
Jakby przeczuwał w duszy swoje przyszłe losy —
A wpatrując się w szańców dalekich pas szary,
Powtarzał nam raz po raz: „trzymać się młokosy!“

Wreszcie trąbka zagrała, krótkie dając hasło,
„Do ataku!..“ „Marsz!...“ „Hurra!“ tysiąc głosów wrzasło,
I... matko, na to słowa nie starczą okruchy,
By tę chwilę opisać straszną i złowrogą!

Ci co na szańcach stali, tęgie zuchy,
Bronili się zajadle.
Już... już jedną nogą
Byliśmy na okopach, dla skończenia dzieła
Brakło chwili, lecz w niej się noga powinęła.
Odparli nas... Idziemy po raz drugi wałem!
Krzyk, wrzask, jakby się piekło rwało na wierzch ziemi —
A przecież, gdym się wspinał na szańce z innemi,
Zdało mi się, że własne swe serce słyszałem..
Udało się tym razem.
Zwycięztwem pijany
Żołnierz, chciałby wytaczać krwi czerwonej strugi!
Wpadliśmy na okopy, jak wściekłe szatany —
I zaczął się bój krwawy, rozpaczliwy, długi...
Wtedy to syn twój matko, w wojennym zapale
Zdobył sztandar, zwycięztwa przeważając szalę.
Pamiętam, jakby wczora najdawniej to było...
Dwóch nas tak oko w oko, pierś o pierś walczyło;
On, chorąży... młodzieniec w moim wieku prawie,
Z twarzą piękną, choć w oczach miał rozpacz i trwogę —
O, tej twarzy, tych oczu we śnie, ni na jawie,
Wpatrzonych we mnie strasznie zapomnieć nie mogę,
Bo mi wszędzie, jak błędne ogniki migocą...

Chciałem mu sztandar jego odebrać przemocą,
Nie puścił; wiedział dobrze co za klejnot trzyma,
Aż kiedym mu bagnetem całą pierś otworzył,
Rzucił mi jakby wyrzut smutnemi oczyma —
Padł, lecz drzewca nie puścił, na nim się położył
I na nim skonał z jękiem... Serce krwią broczyło.

Musiałem sztandar z ręki trupa wyrwać siłą!
— „Zwycięztwo!...“ buchnął nagle okrzyk z naszej strony.
Nie widziałem nic, nigdzie; szałem upojony
Podniosłem moją zdobycz, w oczach było ciemno,
Więc pędziłem na oślep... Sztandar postrzępiony
Od kul i w boju zdarty szeleścił nademną,
Jakby ożył i w sępa zamienił się nagle
I ogromne swe skrzydła roztoczył, jak żagle,
Co się nad moją głową tłukły rozpaczliwie,
By się wyrwać z niewoli...
Dziś — ja się sam dziwię,
Jakim cudem przez walki straszliwą kurzawę,
Wśród trupów, kul i zgiełku, dostałem się cało
Do wodza; ręce miałem poranione, krwawe,
Lecz na czole mem dumne zwycięztwo jaśniało!
Po dniu spieki, wieczorne rozlały się chłody.
W małej garstce — z plutonu, szliśmy do apelu;
Brakło nam kapitana, jak i innych wielu,
Ja — dostałem te szlify i krzyż dla nagrody.

Tak skończyła się wojna. — „Czas wracać do domu,
„Hydra buntu zdławiona, mówił wódz naczelny —
„Pokój znów ustalony, chyba pokryjomu
„Zechcą wichrzeć, to wtedy drugi taki dzielny,
„Jak dzisiaj, szturm przypuścim i wytniem do nogi —
„No, a teraz marsz chłopcy, do drogi, do drogi!...“

I zdarzyło się jakoś, że przez kraj ponury
Wracaliśmy zwycięzko w pierwszych dniach jesieni;
Zdawało się, że wszystkie pola, łąki, góry,
Posmutniały i szatę zrzuciły z zieleni,
I ogólnej radości jakoś nie dzieliły,
Lecz przywdziały jesienny, wdowi strój żałoby...
Po nocach z wiatrem smutne jakieś głosy wyły,
Gór podnóża, jak wielkie wznosiły się groby!

Chociaż żołnierz, nie mogłem oprzeć się tęsknocie,
Co mi się tu, pod serce czegoś podkradała —
Bóg wie czemu!... tak tedy po deszczu i słocie
Armia nasza do domu zwolna powracała.
Ja, z kompanią bocznemi wysłany drogami,
Musiałem się gdzieś błąkać między wąwozami.

Raz pod noc, gdy nas wicher porządnie wysmagał,
Stanęliśmy wśród wioski, każdy nieba błagał,
Aby mógł jak najrychlej spocząć u ogniska.
Wioska była rozległa, w dole po kamieniach
Potok się rzucał, w górze ruiny zamczyska
Sterczały, jakby upiór skryty w nocy cieniach.

Dano mi gdzieś kwaterę pod lasem; „u wdowy,“
Jak powiadali ludzie. Moja gospodyni
Powitała mnie w progu pochyleniem głowy,
Lecz smutno, zimno, ot, jak zwykle czyni
Ten, co musi brać gościa pod dach mimowoli...
Czujesz jak ta gościna obojga was boli.

W domku, zda się — nie było żywej duszy prawie
Oprócz starej i wnuka; chłopiec ośmiolatek,
Gdym wchodził, smutny siedział u okna na ławie
I patrzał w dal, a oczy miał niby bławatek
I włoski kędzierzawe, a bujne i płowe,
Jakby mu jaki anioł darował swą głowę.

Spojrzał na mnie, zpochmurniał i zsunął się z ławy
Na ziemię, potem — zwykle jak dziecko, ciekawy
Żołnierza stał i patrzał tak sobie pomrukując z cicha.
Widziałem, że coś chłopca nęci i odpycha,
Więc kiedyśmy zostali sam na sam w alkowie,
Zbliżyłem się do malca i głaszczę po głowie,
A on mi się z pod ręki wysunął, jak żmija,
I mówi: „Nie, pan taki, co naszych zabija,
„Ja pana nie chcę!...“ przytem wzrok mi taki rzucił,
Jakby starą nienawiść miał w piersi dziecięcej,
I z dumą jasną główkę odemnie odwrócił,
Stanął w progu i nawet nie popatrzał więcej.

Smutno mi było w duszy; to chłopię naiwne
Swemi słowy zbudziło we mnie myśli dziwne...
Zwiesiłem głowę, jakby pod myśli ciężarem
I tak na ławie długom siedział zadumany,
Aż mnie z marzeń kukułka nad starym zegarem
Obudziła kukając... wtem, słyszę z za ściany
Głos znany. Tak, poznałem... w przyległym alkierzu
Chłopak mówił modlitwę do snu...
Po pacierzu
Te słowa dodał ciszej: „Dobry Panie w niebie!
„Polecam też wszechmocnej twej opiece Boskiej
„Wszystkich, co pod chorągwią wyszli z naszej wioski,
„Prowadź ich i ochraniaj tych, co wierzą w Ciebie!“

Zadrżałem czegoś...
„Amen!“ — szepnęli we dwoje.
„Amen,“ ja mimowoli wraz z nimi szepnąłem,
Lecz jakichś strasznych przeczuć opadły mnie roje,
I jakieś widma wspomnień stanęły tuż kołem
Przy mnie... wtem słyszę znowu, jak chłopak za ścianą
Pyta: „Babciu, czy jutro wyjdziemy znów rano —
„Tak, jak codzień na drogę, czekać wujcia w lesie?“
— Pójdziemy, głos kobiecy odrzekł mu z czułością.
— „A czy wujcio tę piękną chorągiew przyniesie,
„Co wtedy zabrał z sobą?...“
— Przyniesie.
— „Z pewnością?...“
Matko grom byłby we mnie krwi nie spalił tyle,
Jak to straszne, tej nocy zrobione odkrycie —
Czy mógł mi boleśniejszą los zgotować chwilę
Za to, żem jedno tylko w boju zabrał życie!
Ach, odtąd myśl się ciągle szarpie niespokojna,
Czem też w obliczu Boga właściwie jest wojna?
Kiedyś, gdy mego życia wszystkie winy zliczą,
Dowiem się..
Lecz tam w górach z żałobą sierocą
Płacze matka i nie wie, że ów gość co nocą
Jak szalony z jej chaty wybiegł tajemniczo,
Ten żołnierz, co z kwatery uciekł, Bóg wie czemu,
Był syna jej zabójcą, i dziwi się jemu,
Że się tak nagle porwał, jak zbrodzień z pod ściany,
I wybiegł, wyrzutami własnych myśli gnany.
A może w macierzyńskiej domyślności zgadła,
Kto pod jej dachem gościł, krwią splamiony syna —
I twarz jej w łzach kąpana, od troski pobladła,
I nie mogąc przebaczyć swej krzywdy — przeklina!...

Marya ...n.

ŁUCYA WILSON.

(z angielskiego).

I.

Latarnia morska w Huncliff wznosiła się o trzy ćwierci mili od brzegu angielskiego, na skalistej ławie, częścią zalanej wodą, częścią zaś wystającej nad powierzchnią morza; w dziwaczne jej zagłębienia wydrążone ciągłem działaniem fali, służyły za schronienie dla dzikiego ptactwa morskiego.

Stara to była i zdezelowana budowla drewniana, drżąca i skrzypiąca przeraźliwie, gdy wzburzone bałwany z szumem u stóp się jej rozbijały.

Dzięki niejakiemu wykształceniu otrzymanemu pod kierunkiem starego marynarza, z którym odbyłem kilka podróży, dzięki zwłaszcza protekcyi jednej ze znakomitości miasteczka Huncliff, z łatwością uzyskałem posadę głównego nadzorcy owej latarni morskiej.

Było to miejsce dosyć zyskowne i z góry już postanowiłem sobie robić oszczędności, w widokach odległych wprawdzie, ale nadzwyczaj przyjemnych.

Protektor mój, stary Wilson, oberżysta w Huncliff, posiadał wcale piękny mająteczek, a przytem był ojcem prześlicznej dziewczyny, którą pokochałem szalenie.

Łucya Wilson miała włosy koloru dojrzałego zboża, błękitne oczy okraszone czarownym uśmiechem i delikatną płeć, zdobną żywym rumieńcem. Młodzież miejscowa ubiegała się o jej względy — Łucya przecież pozostawała obojętną dla wszystkich. Tem więcej cieszyła mnie uzyskana posada, że przebywać mogłem w pobliżu mej ukochanej.

Wilson był dostawcą żywności do naszej latarni, i sam też jak najregularniej dowoził potrzebne zapasy.

Prawie zawsze towarzyszyła mu Łucya, widocznie zamiłowana w maleńkich tych wycieczkach na morze. Niekiedy wstępowałem do ich łodzi i z niewymownem wzruszeniem spoglądałem na Łucyę, siedzącą obok mnie i poruszającą wiosłem, podczas gdy wiatr igrał z jasnym jej włosem, a znużenie chwilowe mocniejszym szkarłatem oblewało jej lica.

Zajęcia moje nie były zbyt uciążliwe, należało jednak wykonywać je z dokładnością i punktualnością chronometru.

Pierwszym a najważniejszym warunkiem było zapalać lampy co wieczór, równo z zachodem słońca i utrzymywać je w pełnem świetle przez całą noc aż do białego dnia.

Latarnia w Huncliff dwóch tylko posiadała mieszkańców: mnie i mojego porucznika, Wiliama Gisborne.

Wówczas nie istniał jeszcze przepis, nakazujący, aby w każdej latarni morskiej znajdowało się przynajmniej trzech strażników.

Monotonność życia naszego przerywały tylko odwiedziny przyjaciół z Huncliff.

Po za tem, stanowisko strażnika, zwłaszcza podczas burzliwych nocy, nie należało do najprzyjemniejszych. Trzeba było czuwać kolejno w „latarni“, to jest na szczycie budynku, gdzie płonęły lampy, zasłonione od wichrów grubemi szklannemi szybami.

Jakby na wynagrodzenie za owe straszliwe noce, mieliśmy przecudne letnie wieczory, gdy, jak okiem sięgnąć, morze roztacza lazurową swą powierzchnię, to przerzynaną gdzieniegdzie białym żaglem, to srebrzącą się błyskotliwą łuską ryby igrającej pod wodą, albo też ugarnirowaną wstążeczką lekkiej piany, którą wieczorny wietrzyk swawolnie przesuwał po falach.

Podczas wieczorów podobnych maleńka łódka odbijała od brzegów Huncliff, lekko przemykała złotą ścieżką zakreśloną promieniami zachodzącego słońca i podpływała do naszej pustelni.

To stary Wilson i Łucya przywozili nam zwykły zapas żywności, albo też przybywali w odwiedziny.

Uradowane spojrzenia nasze kierowały się w stronę przybywających, a jednocześnie podążaliśmy na punkt, aby powitać miłych gości, dopomódz im wysiąść, przymocować łódkę i znieść z niej ładunek.

Wilson z serdecznym witał nas uśmiechem, zapytywał o zdrowie, ściskał za ręce, a następnie opowiadał o wszystkiem, co zaszło nowego w Huncliff.

Czarująca Łucya ukazywała nam się w naszej samotni jak anioł piękności i dobroci.

Miłość ku niej gwałtownie rozwijała się w mem sercu. Byłem pewny, że otrzymam jej rękę; wykształceniem przewyższałem całą młodzież miejscową, a Łucya, która także była na pensyi, umiała ocenić moją wyższość. W obejściu zresztą, mniej nieśmiałą była ze mną, aniżeli z moim towarzyszem, Wiliamem, jakkolwiek równąż dłań okazywała życzliwą delikatność.

Z tem wszystkiem, odwiedziny Łucyi i jej ojca i od czasu do czasu niedalekie wycieczki na morze z rybakami z sąsiedztwa, mało urozmaicały jednostajne i nudne życie nasze w latarni, czułem się przeto bardzo szczęśliwym, znalazłszy w pomocniku moim tak miłego towarzysza w samotności, jakim był Wiliam Gisborne.

Usposobienia nadzwyczaj łagodnego, o rysach regularnych i ujmujących, z wielkiemi myślącemi oczyma, z bujnym, ciemnym, jedwabistym włosem, Wiliam posiadał wiele zdolności umysłowych, nieocenionym też był towarzyszem.

Wzajemne pogadanki stały się niebawem całodziennem naszem zajęciem. Rozmawialiśmy o wszystkiem, o ubiegłych latach młodości, sprzeczaliśmy się nieraz pod względem zapatrywań naszych, tworzyliśmy plany na przyszłość; ale, rzecz dziwna, imię Łucyi nigdy nie przychodziło nam na usta, a nawet, wśród mnóstwa opowiadanych wydarzeń z życia, nigdy ani wzmianki między nami nie było o miłości.

W końcu nabrałem przekonania, że Wiliam był istotą zimną i bez serca, niezdolnym ocenić wdzięki kobiety; litowałem się nad nim.

Z mojej strony, powściągliwość w mowie łatwo się dała wytłómaczyć obawą, aby wyjawieniem tajemnicy mego serca nie zbudzić uśpionej może wyobraźni Wiliama.

II.

W jesienny wieczór stałem z wędką na pomoście, gdy nagle ujrzałem w oddali łódkę starego Wilsona, z której Łucya dawała nam znaki białą swą chusteczką. Natychmiast odłożyłem na bok rybackie moje przyrządy i z radośną niecierpliwością zakochanego oczekiwałem przybycia barki. W jednej chwili zdecydowałem się tego właśnie wieczora odkryć Łucyi stan mojego serca; dawno już zbierałem się na ten krok stanowczy. Szelest po nad głową zwrócił moją uwagę, a gdym spojrzał w górę, zobaczyłem Wiliama, który, wychylony z okna pierwszego piętra, również jak i ja, kiwał na łódkę.

Niezwykły wyraz twarzy jego uderzył mnie; zdawało mi się, iż przebijała w niej niewinna radość, namiętność głęboka, ale gwałtowna. Mignęło to jak błyskawica.

Tymczasem łódka trąciła o skałę, goście nasi wyskoczyli na pomost i w pierwszej zgiełkliwej chwili radosnego powitania zapomniałem o wszystkiem. Łucya nigdy jeszcze nie była tak piękną jak dzisiaj, tak uprzejmą i tak troskliwą o mnie.

Lekka jak motylek przebiegła z pokoju do pokoju; zaszła aż do latarni a nawet na galeryę zewnętrzną, z której dwie drabiny prowadziły aż na dół, jedna zewnątrz budynku, druga wewnętrzna zastępowała nam miejsce schodów.

Musiałem obliczać się z Wilsonem; było mi to tem bardziej nie na rękę, że chciałem jak najprędzej zbliżyć się do Łucyi, aby wyjawić jej moją miłość.

Nakoniec zdołałem się uwolnić; opuściwszy więc Wilsona, sprawdzającego rachunki, wybiegłem aby odszukać Łucyę.

Ciche szepty doleciały mnie przez otwarte okno; wychyliłem głowę i ujrzałem... Łucyę siedzącą w łódce obok Wiliama.

Przejęty nieodgadnioną trwogą, zszedłem pocichutko na pomost i ukrywając się po za olbrzymiemi belkami, podsunąłem się aż do miejsca, gdzie przytwierdzona była łódka.

Trząsłem się cały, ale powątpiewałem jeszcze.

Wiliam i Łucya zajęci byli ożywioną rozmową. Dziewczę miało na sobie mantylę z kapturkiem; wiatr uchylił cokolwiek mantylę.,. pomost zachwiał się pod memi stopami: ręka Wiliama obejmowała zgrabną kibić Łucyi...

— Powiedz mu, drogi mój Wiliamie — szeptała ona, nie spuszczając oka z nazbyt pięknej twarzy przeklętego mego pomocnika.

— I po cóż mam mu mówić? — perswadował Wiliam, spoglądając na nią z uśmiechem pełnym szczęścia i dumy.

— Po co? — tu Łucya oparła cudowną swą główkę na jego ramieniu, a ja myślałem, że oszaleję. — Po co? po co?... Jakby ci to powiedzieć?... Bo już wielki czas jest... Wiem, że on mnie kocha, i dlatego obawiam się go.

Ach! ona lękała się mnie!

I w rzeczy samej, miała słuszność!

Gdyby mogła była mnie widzieć w owej chwili, nie powróciłaby spokojna do domu.

— Powiedz mu, drogi Wilusiu, że wychodzę za mąż za mego kuzynka, Parka. Ostrożność wymaga tego drobnego kłamstwa. Jesteście tu zupełnie sami, a gdyby się on dowiedział, Boże!... On taki gwałtowny, a ty, mój ukochany, jesteś łagodny, delikatny... Ach! nie uwierzysz, jak lękam się o ciebie!

— Uspokój się, moja droga — mówił Wiliam. — Nie jestem wprawdzie Herkulesem jak on, ale nie boję się go!

— Zawsze lepiej, powiedz mu, proszę cię! — szepnęła Łucya, i na poparcie prośby, podniosłszy główkę, dotknęła ustami jego twarzy.

Usłyszałem pocałunek. Z wściekłością zacisnąłem pięści, w uszach mi zaszumiało, grube krople potu wystąpiły mi na czoło i zmuszony byłem oprzeć się o belkę, aby nie upaść.

Pocałunek ten dobił mnie. M o j a Łucya — bo przywykłem już uważać ją jako moją wyłączną własność — m o j a Łucya, z takiem wylaniem się, z takiem przejęciem, kocha innego mężczyznę, mego podwładnego, tego dzieciaka, niewieściucha o białej twarzyczce!

Ach! nędznik! Skradł mi miłość, która była moją nadzieją, mojem życiem, mojem szczęściem! Zdobyłem się na ostatni wysiłek, aby się powstrzymać i przybrałem spokojny wyraz twarzy, aby nie zdradzić się przy pożegnaniu.

Ale jak znieść widok Wiliama Gisborne i Łucyi razem? Jak się zachować względem nich na przyszłość?

Łucya była wesoła i uprzejma jak zawsze; pożegnała się z nami ze zwykłą serdecznością. Musiała spostrzedz pochmurne moje usposobienie, ale nie dała tego poznać po sobie.

Wiosła plusnęły o wodę, łódka chyżo pomknęła i niebawem znaczna przestrzeń morza oddzielała nas od Łucyi. Srebrzysty tylko śmiech jej rozlegał się po gładkiej wód szybie.

Chusteczką przesłała jeszcze ostatni ukłon. Ale komu — aż nadto dobrze o tem wiedziałem!

Zaraz po odjeździe Łucyi, Gisborne udał się na górę, do latarni. Na niego wypadała kolej czuwania. Ja zostałem na dole, szczęśliwy, że nie będę go widzieć przez całe trzy godziny i nie zdołałbym znieść jego obecności.

Rozmyślałem o mojej miłości, wznawiałem dawne marzenia o szczęściu, wśród których czarująca twarzyczka, przed chwilą tuląca się do j e g o twarzy, odgrywała zawsze najważniejszą, główną rolę.

Potem, pomyślałem o przyszłości... o i c h przyszłości... i jakby pod krwawym razem pletni, rzuciłem się z wściekłością przed siebie, zaciskając pięści i grożąc ku latarni, przeklinałem tego człowieka... mojego rywala!...

Krew dziwnie jakoś zawrzala we mnie; w oczach uczułem płonące zarzewie; pragnąłem zemsty.

— Wiliamie Gisborne! — zawołałem — nie nacieszysz się tą, miłość której ukradłeś mi!

Wśród tej burzy rozszalałych namiętności, doleciał mnie głos z góry. To mój pomocnik przyzywał mnie na zmianę. Kolej moja nadeszła. Nie odpowiedziałem. Zabrakło mi siły. Czekałem.

Wkrótce ukazał się Wiliam. Zdawało mi się, iż na czole jego dostrzegam radość z odniesionego tryumfu. Spojrzał na mnie pytająco.

— Winszuję ci — rzekłem szyderczym głosem.

— Czego?

— Twego małżeństwa z Łucyą Wilson. Ale, powiadam ci, nie tryumfuj jeszcze!

— A kto mi może zabronić? — odparł śmiało Wiliam, podnosząc dumnie głowę.

W tej postawie wydał mi się jeszcze piękniejszym niż zwykle, a nienawiść moja, doprowadzona do ostateczności, gwałtownym zapłonęła żarem.

— Ja! — krzyknąłem i z pochyloną głową rzuciłem się naprzód.

Wiliam nie ruszył się z miejsca.

— Nigdy jej nie posiędziesz — zaryczałem, chwytając go w pół.

— Żadna już siła nie zdoła mi jej wydrzeć — odpowiedział pewnym i spokojnym głosem.

Za chwilę tarzaliśmy się na pomoście, splątani jak dwa węże w śmiertelnych uściskach. Jeden z nas dwóch musiał zginąć.

Wiliam silniejszy był, aniżeli przypuszczałem. Dość długo trwała straszliwa ta walka, wśród niezmierzonej pustyni wód, przy białem świetle latarni morskiej. Nakoniec powiodło mi się przemódz mego przeciwnika i wydostać się na wierzch; z zaślepioną wściekłością przygniatałem ciało jego do ziemi. Sięgnął ręką pod ubranie; wyobraziłem sobie, iż szuka noża — z całą więc siłą nacisnąłem kolanem pierś jego... obu rękami schwyciłem za gardło...

Przez chwilę jeszcze bronił się rozpaczliwie; ale niezadługo chrapliwy jęk wydobył się z jego piersi, twarz strasznie nabrzmiała, ręce zesztywniały i opadły bez czucia...

Na ten widok, z paroksyzmu wściekłości i nienawiści, przeszedłem nagle do zimnego ocenienia mej zbrodni. Zabójca! Przejęty trwogą i przestrachem chciałem uciekać na szczyt latarni, ale doszedłszy zaledwie do pierwszego piętra, padłem bez przytomności...

III.

Kiedym odzyskał zmysły, jasny już dzień był, a lampy świeciły jeszcze pełnym płomieniem. Zawlokłem się na górę, aby je zagasić i przyrządzić na noc następną. Panujące na okół milczenie, przerażało mnie; za żadną cenę nie odważyłbym się zejść na pomost.

Tam rozciągnięte leżało martwe ciało młodego i pięknego mężczyzny, którego wczoraj jeszcze widziałem w objęciach Łucyi.

Popełniłem zabójstwo. Czułem, że klątwa Kaina zawisła już nad moją głową.

Zbliżyłem się do okna. Poranek był czarujący, a słońce wznosiło się w całej swej okazałości. Wychylam się i spostrzegam czarny przedmiot kołyszący się na wodzie... To marynarski kapelusz mojej ofiary; pełen przerażenia zbiegam na dół, aby go pochwycić, zanim fale uniosą go ku stałemu lądowi, gdzie świadczyłby o mojej zbrodni.

Nadjechałaby Łucya — miłość tak łatwo się niepokoi — i ja nie zdążyłbym już uciec — a trzeba było uciekać koniecznie.

Szubienica wyciągała ku mnie złowieszcze swe ramiona.

Ale uciekać mogłem dopiero wieczorem; gdyby lampy nie zostały zapalone o zwykłej godzinie, zaraz by to ściągnęło podejrzenia, i znowu byłbym zdradzony. Na pomost przybyłem z zamkniętemi oczami; musiałem zebrać wszystkie siły aby módz spotkać się z trupem mego rywala.

Serce o mało mi nie pękło w piersiach.

Bardziej umarły niż żywy, otwieram zwolna oczy, spoglądam zdumiony i przerażony na okół...

Pomost był pusty.

Odpływ morza uniósł trupa Wiliama. Mógł go unieść do brzegu, a wtenczas byłbym zgubiony bez nadziei; mógł również złożyć go w czeluściach skał i tym sposobem ułatwić mi środki ocalenia. Wyciągnąłem z wody kapelusz mego towarzysza, a nachyliwszy się, ujrzałem zaczepiony łańcuszkiem o gwóźdź zegarek Wiliama, który mu wypadł z kieszeni podczas wczorajszej walki.

Złoty zegarek mógł mi się przydać; schowałem go. Uciekać bez dostatecznych funduszów, byłoby to samo co dobrowolnie oddać się w ręce sprawiedliwości. Wczoraj morderca — dziś zostałem złodziejem! Wodząc błędnem okiem po morzu, spostrzegłem jedną łódkę odbijającą od brzegu w Huncliff i kierującą się ku naszym skałom.

Wkrótce ujrzałem powiewającą białą chustkę; znajome to hasło Łucyi. Nie wie więc jeszcze o niczem. Odpływ morza nie zdradził mnie. Ale w jaki sposób przyjąć mi ją należy?

W podobnych decydujących chwilach człowiek najbardziej wahający się, umie zdobyć się na odwagę. Na szczęście, Łucyi towarzyszył tylko młodszy jej brat; to mnie ośmieliło.

Zbliżając się, Łucya z niepokojem spoglądała w okna latarni; widocznie oczy jej szukały nieobecnego.

Wysiadłszy na pomost, zapytała nieśmiało, ale z pośpiechem zdradzającym niepokój i miłość zarazem:

— Gdzie Wiliam?

— Przykro mi niezmiernie — odpowiedziałem bez najmniejszego wahania — ale jest bardzo chory. Zdaje mi się, że to będzie tyfus.

— Chory! — zawołała. — Wiliam chory! Och! muszę go widzieć!

Piękne jej oczy zapełniły się łzami. Patrząc tak na nią, doznawałem niewysłowionych męczarni.

— Niepodobna! — odpowiedziałem stanowczo — choroba zaraźliwa.

—Na jedną chwilkę tylko!—błagała, składając drobne swe rączki — może potrzebuje czego, biedny mój Wiluś.

— Nie zezwolę na spełnienie podobnej nieroztropności — rzekłem stanowczo, tknięty do żywego pieszczotliwem imieniem mojej ofiary.

Dziewczę odwróciło się, aby łzy ukryć.

(Dok. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(*Kilka uwag o podstawie i granicach filozofii przez Dra Stefana Pawlickiego. Kraków 1878 r.*)

Pod tym tytułem wydał w bieżącym roku rozprawę dr. Stefan Pawlicki, przedtem docent filozofi w uniwersytecie warszawskim, a obecnie członek zgromadzenia OO. zmartwychwstańców. Rozprawa ta, napisana w celu uzyskania katedry filozofli w krakowskim uniwersytecie, ma za zadanie rozstrzygnąć raz na zawsze wszystkie wątpliwości, jakie powstały ostatniemi czasy, pod względem zadania i stanowiska filozofii w ogóle. Chodzi tu mianowicie o rozwiązanie zagadnienia, czy filozofia jest nauką? czyli innemi słowy, czy ma ona właściwy sobie przedmiot i jaka jest jej metoda i stosunek do innych nauk?

Wywód autora jest następujący:

„Pytanie: czy filozofia jest nauką? zamienia się w to drugie: czy ma pewnik słuszny, pewny, uznany od wszystkich? Filozofia, która ma być nauką, powinna sobie obrać zasadę, równocześnie z jednej strony tak realną, z drugiej tak myśli przystępną, a nawet przylegającą, że wszystkie kategorye bytu i myślenia znajdą w niej swe ugruntowanie. Zasada ta nie będzie ani matematyczną, ani czystą logiczną, bo nie tłumaczyłaby rzeczywistości. Potrzeba zatem udać się do fizycznego porządku. Tam wiele jest faktów, na które każdy zgodzi się od razu, ale jeden jest przedni, towarzyszący wszystkim innym, dający im, jeżeli nie rzeczywistość, to przynajmniej możność dostania się do świadomości naszej. Nie masz człowieka, który *nie wie, że jest.* Żadnej prawdy ani również głęboko nie czuje, ani również jasno nie obejmuje. Wiedząc, że jest, wie także, że to on zawsze ten sam, który czuje, myśli, pragnie, chce lub działa. Ta wiedza, bez względu na większą lub mniejszą jasność, której nabiera w głowach ludzkich, daje nam *pojęcie ludzkiego ja, ludzkiej osoby*“.

„Pojęcie osoby wiedzącej, że jest, jest pewnikiem *najpowszechniejszym,* gdyż wszyscy nań zgadzają się bezwarunkowo; jest pewnikiem *pierwszym,* bo myślenie dopiero w nim i przezeń podobnem się staje; jest *najzrozumialszym,* bo bezpośrednio każdemu wydaje się tak jasnym, że nie potrzebuje żadnych dowodów. Jest on co więcej pewnikiem *fundamentalnym,* bo wszystkie inne pewniki, jakiegokolwiek porządku, mają w nim naturalną i niezbędną podstawę. Przeświadczenie, że to moje *ja* nietylko myśli, lecz prócz tego jest żywym przedmiotem rozmaitych stanów i odmian, które myśleniem nie są, a nawet jemu narzucają treść swoją, pod myśl moją podsuwa grunt twardy, na którym spocząć mogą bezpiecznie, wiedząc, że ich ład nie jest jedyny, że równolegle z nim idzie ład drugi, ontologi-

*

czny, również ważny, a więcej rzeczywisty. Tak więc pewnik: *wiem, że jestem*, łącząc byt i myślenie moje w jednę pierwotną syntezę, staje się prawdziwym fundamentem poznania".

„Fakt naszego istnienia nietylko znany nam jest lepiej od każdej innej prawdy, lecz i *sposobem* zupełnie *odmiennym*. Wszystko co zewnątrz mnie jest lub dzieje się, nie dochodzi wprost do świadomości mojej, lecz za pomocą *pośrednictwa* zmysłów; siebie zaś znam *bezpośrednio* sposobem tak odrębnym, poufałym, osobistym, jak nikt drugi mnie nie zna. Każdy umysł znać może niezliczone przedmioty, ale być niemi nie może. O jednej tylko rzeczy umysł każdy powiedzieć może, że ją zna i jest nią zarazem. Tę wiedzę, jedyną w swym rodzaju, nic lepiej nie określa od wyrazu *samowiedza*".

„Wiedza więc dzieli się na *bezpośrednią* i *pośrednią*. Pośrednia albo na doświadczeniu zmysłów opiera się, albo na ludzkiem słowie, w obu razach ma prawdę swoją zewnątrz nas, a poręczenia swoje czy w normalnym stanie zmysłów, czy w większej lub mniejszej pewności, że ludzie nie mylą się lub nie kłamią. Wiedza bezpośrednia przeciwnie nie potrzebuje pośrednictwa zmysłów, ani też opiera się na wierze w słowo ludzkie. Wierzę zmysłom, wierzę temu, co ludzie mówią albo piszą, ale temu, co wewnątrz mnie dzieje się, nie wierzę, lecz wiem o tem, bo ma we mnie źródło bytu swego. Zachodzi jednak pytanie, czy wiedza bezpośrednia może stać się nauką? Nauka tem się zajmuje, co trwałe, ogólne i konieczne. Koniecznem oczywiście jest to, co nie może nie być. Ani świat, ani żadna część jego nie istnieje koniecznie, ten przydomek należy się tylko najwyższej istocie, dawczyni bytu wszelkiego. Względnie jednak wiele rzeczy jest koniecznych. W tem znaczeniu względnem odkrywam w samowiedzy mojej mnóstwo rzeczy koniecznych. Mógłbym nie być, ale skoro jestem, wiele rzeczy koniecznie być musi: nasamprzód prawa, które mną rządzą. Wiele praw, nacechowanych koniecznością w jestestwie mojem odkrywam, a każde nietylko koniecznem, lecz i ogólnem jest i rzeczywiście będącem, ma przeto wszystkie warunki przedmiotu naukowego. Jest zatem wszystko obecne, czego potrzeba dla nauki: jest punkt wyjścia, czyli pierwsza zasada jest także materyał w mnóstwie praw, które znane mi bezpośrednio z doświadczenia wewnętrznego, ułożyć się dadzą w system naukowy. Nie będzie to spekulacya oderwana. Zajmuje się czemś, co jest rzeczywiście. Ale wszystkie rzeczy, o ile są, podobne są do siebie i temiż rządzą się prawami. Kto poznał jednę dokładnie, wszystkich rzeczy zna istotę, zna prawa, rządzące wszelkiem istnieniem. Nauka więc, która wiedzę bezpośrednią zrobi przedmiotem swych badań, może o sobie śmiało powiedzieć, że zajmuje się *bytem*, bo odkrywa w nim to, co w nim jest stałe i konieczne. Będzie to nauka ogólna, bo zajmująca się wszelkim bytem, nie jakim tu i owdzie się objawia, lecz jakim jest istotnie. Takie jej zadanie już Arystoteles wskazał. Jakoż sporu o to właściwie nigdy nie było, różniono się tylko w pojęciu bytu i metodzie, która do niego prowadzi.

„Powiedziano o filozofii nie bez słuszności, że ona cała mieści się w metodzie. O niej przeto należy pomówić obszerniej.

„Filozofia, zaczynająca od otaczającej nas przyrody, od świata materyalnego, kończy na materyalizmie, którego pierwszym pewnikiem jest, że *są tylko ciała*. Można by tu zapytać: zkąd znam ciała, jeśli nie z wrażeń zmysłowych? Wrażenia moje bliższe mi są i pewniejsze od ciał zewnątrz mnie. Wrażenia jednak nie są ciałem, bo jakkolwiek przez ciało mnie dochodzą, wiem doskonale, że nie ciało je odbiera, lecz osoba moja, moje *ja*. Wnoszę ztąd, że to, co we mnie czuje i wie, odmiennem jest od ciała mego. Tamto *duchem* nazywam i zupełnie różnemi od ciała obdarzam przymiotami.

„Oprócz bytu materyalnego, jest jeszcze inny, od którego wielu filozofów zaczynało *byt najwyższy, bezwzględny*. Filozofowie ci, przyjmując bezpośrednią intuicyę wszechbytu, dochodzą do pewnika, że *myśleć* i *być jedno są*. W tem mają racyą, że zaczynają od czegoś bezpośredniego, ale łudzą się, mniemając, że widzą byt absolutny. Bo intuicya bezpośrednia w niczem się nie różni od wiedzy bezpośredniej, a bezpośrednio podmiot myślący zna tylko siebie i czyny swoje, które, gdy do poznania się odnoszą, są pojęciami. Może umysł bezpośrednio widzieć ideę bytu, ale to nie byt, to tylko jego pojęcie. Są pojęcia, którym żaden przedmiot rzeczywisty nie odpowiada.

„Przegląd dwóch głównych metod szukania prawdy pokazał niewątpliwie, że ile razy filozofowanie rozpoczynało z bytem obcym, mniejsza o to, czy z Bogiem, czy światem, dojść nie mogło do zadawalniającego wytłumaczenia naszej osoby. Pochodzi to z braku prawdziwej zasady, z niezrozumienia, że wszelki byt obcy mniej nam znany jest od własnego; że w nim dopiero jasności i pewności nabiera. Nie pozostaje więc, jak zaczynać od bytu własnego. Tę metodę można nazwać *osobistą*, bo przypuszcza z góry i za najpewniejszą prawdę *ludzkie ja* ogłasza.

„Pierwszy fakt *samowiedzy* przyjmuje jestestwo ludzkie za nierozdzielną osobę, za syntezę najściślejszą duszy i ciała, między któremi zachodzi tak ścisły związek, że pierwsza bez drugiego nic o sobie wiedzieć nie może, nawet o własnem istnieniu. Z tak syntetycznego, osobowego wychodząc stanowiska, *bezpośredniem* musimy nazwać *to wszystko, czem ja moje jest*, a pośredniem, *czem ono nie jest*.

„Ztąd wypływają następujące zasady, określające dokładnie metodę osobistą:

1. Bezpośrednio znam byt i czyny moje, oraz wszystko, czemu zaprzeczyć nie mogę, nie chcąc zaprzeczyć mego bytu i działania.

2. Pośrednio znam byt i czyny obce, o ile objawiane mi są przez doświadczenie zmysłów lub też słowo ludzkie".

Autor nadmienia tu jeszcze o trzeciem źródle wiedzy-objawienia, czyli słowie bożem, na którem opiera się teologia. W jednem miejscu (str. 41) autor zalicza objawienie do wiedzy bezpośredniej, w innem zaś (str. 12) do pośredniej, zostawiając pod tym względem czytelnika w niepewności.

„Ten podział wiedzy daje nam najpraktyczniejszy podział nauk, które oczywiście tam staną, gdzie wiadomości, z których zostały utworzone.

„Wiedza pośrednia rozpada się na dwie olbrzymie dziedziny historycznych nauk i przyrodzonych. Narzędziem do poznania tamtych jest słowo ludzkie, tradycya; te zaś przystępne są doświadczeniu zmysłów.

„Wiedza bezpośrednia daleko mniejszą liczbę nauk rodzi, ale za to są pewniejsze. Do nich należą matematyka ze swemi częściami i filozofia. Nieomylna pewność tych nauk nie pochodzi, jak mniemał Kant, ztąd, że opierają się na przyrodzonych nam kategoryach, czy formach widzenia (sic), z których przed wszelkiem doświadczeniem wydobywamy ogólne, apodyktycznie pewne sądy. Bez doświadczenia nic zgoła wiedzieć nie można. *Nihil est in intellectu, quod non fuerit in sensu.* Nauki oparte na wiedzy bezpośredniej są apryorystyczne w znaczeniu Arystotelesowem, że z ogólnych zasad tłumaczą szczegółowe wypadki. Ale zachodzi pytanie, czy same zasady, jak wszystkie wyniki doświadczenia, mają znaczenie konieczne, bezwzględne, czy tylko prawdopodobne. Gdybyśmy mieli tylko doświadczenie pośrednie, nigdybyśmy nie doszli do absolutnej w niczem pewności. Mamy atoli nadto doświadczenie bezpośrednie, którem nabywamy wszystkie kantowskie kategorye rozumu, jak: przestrzeń, rząd, ruch, liczba itd. Gdyby nie było nawet ciał innych, człowiek mając własne ciało przestronne, przekonałby się, że przestrzeń jest dla niego konieczna, bo bez niej być nie może. Ale to dopiero przestrzeń jego ciała, to jeszcze nie przestrzeń próżna, w której nam się wszystko ukazuje. Ta próżnia, jest właściwie niczem, bo jest tylko możnością mnóstwa przestrzeni pełnych. A każda możność jest nieskończouą. To samo ma się rozumieć i o innych Kantowskich kategoryach rozumu.

Zasady więc filozofii i matematyki, powstając z bezpośredniego doświadczenia, mają również pewność. Różni się zaś filozofia od matematyki tem głównie, że ta tylko *możliwościami* się zajmuje, ona zaś najpełniejszą *rzeczywistością* — bytem, który jej dany jest w bezpośrednim doświadczeniu. (C. d. n.)

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 16. maja.

(W) W tych czasach, a szczególniej w ostatnim tygodniu (ostrzegam, że nie w naszym) rozbiła się prawdziwa szkuta z socyalistami. W Petersburgu strzelają do ulubieńców carskich, w Berlinie nawet do samego cesarza jadącego z córką, w Warszawie biją dziennikarzy, a we Lwowie wprawdzie jeszcze do nikogo nie strzelali, ani też nikogo nie obili, ale są, skoro c. k. organa policyjne potrafiły ich wyśledzić, kiedy zajmowali się czytaniem jakiegoś „Druha." Straszne rzeczy — mówił do mnie jeden tutejszy kapitalista — zkąd to się ta zaraza bierze u nas. Ależ to panie dobrodzieju gorsze od cholery, od tyfusu wysepkowego, gorsze od księgosuszu.

— Widzi łaskawy pan konsyliarz — mówię do niego — to musi być także geschäft, skoro się żydzi do niego biorą.

— Ot ma pan dobrodziej racyą... oczywiście interes... Tylko po cóż zaraz strzelać, bić... Powiedz, co chcesz dam, a nie strzelaj... A tego wszystkiego bigosu narobił nie kto inny, tylko Bismark. Z ojcem świętym się pokłócił, księży powypędzał, Francuzów obdarł wprowadzając zasadę „siła przed prawem..." Tak panie dobrodzieju, on jest pierwszy socyalista w Europie i żeby tu do Lwowa przyjechał kiedy, sam byłbym za tem, żeby go aresztować. Teraz panie łaskawy już i spać spokojnie człowiek nie może, „co twoje to moje..." powiadają, no, no chyba już będzie koniec świata... Żeby to jeszcze można poznać odrazu socyalistę, człowiek by się

strzegł; a to słyszę chodzą w surdutach i nawet panie dobrodzieju rezonują, książki i gazety piszą... Trzeba wystosować adres do naszej delegacyi w Wiedniu, niech zażądają od ministra, aby tym socyalistom jakieś znaki dali, albo mundury osobliwsze...

Nie mogłem poczciwemu konsyliarzowi w żaden sposób wytłumaczyć znaczenia socyalizmu, bo on z góry uważa ich za rabusiów, którzy gwałtem chcą cudzych pieniędzy. Jak panie dobrodzieju żydzi wchodzą do tej sprawy, to o pieniądze idzie, ani chybi tylko o pieniądze, ma pan racyą.

Więc tedy źle jest na świecie, kochani czytelnicy, nihilizm, komuna, socyaliści, ta trójca w jednej osobie, coś zanadto natarczywie zaczyna pokazywać swoje rogi, daleko natarczywiej niż deputowany p. Grocholski w swej interpelacyi do pana prezesa ministrów, na co są potrzebne owe sześćdziesiąt milionów. Powiadają, że na kongres, a kongres już prawie jakby się zebrał; niech tylko Moskale wysztyftują flotę rozbójników morskich dla bronienia *uczciwej* sprawy. Zgadnijże tu teraz czytelniku, co jest uczciwszego na świecie, czy socyalizm, czy rozbój? Widocznie zależy to od okularów, przez które się na uczciwość patrzy, dalipan gołemi oczami dziś już trudno dopatrzeć się prawdy, publiczny wzrok kompletnie stracił naturalną siłę. Oto naprzykład i z tym Kaliszem, którego to sądy tutejsze oddały Moskalom, to dziwne zachodzą zapatrywania na jego winę. Sędzia śledczy z powiatu Łomżyńskiego zrobił go oszustem, fałszerzem i rabusiem, słowem kryminalistą, czemu sądy nasze licząc na znaną uczciwość moskiewskich sądów uwierzyły. Tymczasem znalazł się już ktoś, co tę sprawę wytłumaczył inaczej, nawet ze stanowiska prawnego motywując brak odpowiedzialności przedawnieniem. My, postaramy się jeszcze z innej strony zwrócić uwagę naszych sądów na wiarogodność rekwizycyi nowych władz sądowych w królestwie, władz czyhających na duszę emigrantów znajdujących przytułek w Galicyi.

Wiadomo, że wskutek najmiłościwiej udzielonej amnestyi w Kongresówce, dochodzenie wszelkich spraw dotyczących powstania z r. 1863 zaniechanem zostało. Dopóki istniały tam polskie sądy i dopóki nie zawarto konwencyi z Austryą co do wzajemnego wydawania zwyczajnych przestępców, nie pociągano do odpowiedzialności osób z tytułu wykroczeń popełnionych na urzędzie takim, jak wójta gminy podczas powstania. W tym czasie, dla ochrony rozbitków, których bez wyboru wysyłano na Syberyą, wielu obywateli będących wójtami gmin zapisywało tych błąkających się biedaków z Litwy i krajów zabranych do ksiąg ludności miejscowej, bo takich podług amnestyi, za poręczeniem gromady, zostawiano w spokoju. Otóż podobnej winy dopuścił się i zmarły Kalisz, były obywatel ziemski, któremu pan sędzia śledczy zarzucił zbrodnię nadużycia władzy, ukrywanie przed poborem rekruta itp... bo co się tyczy wymuszania datków — to oczywista rzecz, iż było to zbieranie składek na cele patryotyczne, a takiej zbrodni przez lat parę dopuszczali się wszyscy mieszkańcy Królestwa polskiego. Że nieboszczyk Kalisz znany zkądinąd jako dobry Polak i człowiek uczciwy nie mógł się tych czynów dopuścić po roku 1864, łatwo dowieść, gdyż po tej dacie już nie mógł być wójtem gminy, albowiem na wójtów do ostatnich nawet czasów kazano wybierać wyłącznie tylko samych włościan. Pragnąc wywrzeć zemstę nad biednymi wygnańcami, nowi sędziowie moskiewskiego pochodzenia wywlekają teraz dawne sprawy wójtów gmin obywateli ziemskich, a podciągając je pod zwykłe artykuły kodeksu karnego, wynajdują pozory żądania od władz austryackich wydania tych osób na mocy konwencyi. Dla tego uważamy tu za obowiązek ostrzedz nasze władze sądowe przed tego rodzaju machiawelstwem z prośbą, aby otrzymawszy wezwanie władz moskiewskich o wydanie przestępców, żądali więcej szczegółowych dowodów winy, niż proste donieisenie o rzekomo popełnionych zbrodniach. Po cóż gubić ludzi i okrywać ich hańbą pospolitych przestępców, jeżeli rzeczywiście są oni tylko ofiarami mongolskiego wyrafinowania. W ten sposób zabranie koni przez powstańców zrobi się prostą kradzieżą, napad na wojsko — rozbojem, i władze moskiewskie na tej zasadzie mogą zażądać wydania wszystkich emigrantów, jacy się w Galicyi znajdują.

Spełniwszy ten obowiązek publiczny względem naszych władz sądowych, przechodzę do kroniki bieżącego tygodnia z braku lwowskiego. Mamy ciepło zdaje się teraz naprawdę wiosenne, przebrnąwszy skutki potrójnego przymierza panów Pankracego, Bonifacego i Serwazego. Ulice i przechadzki publiczne roją się spacerującymi, na twarzach i w spojrzeniu znać wiosnę, słowiki nucą miłośne trele, a kukułki nawołują figlarnie do używania tej wiosny i życia. Po wszystkich ogródkach oczyszczono pleśń zimową, piaskiem bielą się ulice — a zwolennicy mleka spożywają je z namaszczeniem pod rozmaitemi postaciami. Gubernatorskie Wały, (tak ochrzczone zostały wyższe skarpy przy gmachu Namiestnictwa), ck. wojacy różnej broni i różnego koloru czapek, razem z niańkami i kucharkami naszemi--wzięli w faktyczne posiadanie. Wśród postępujących ścieśnionymi szeregami gemeinów, nie podobna nam cywilnym przesunąć się po alei; wszystko co nosi nie wojskową czapkę jest bez ceremonii roztrącane, a jak na tem wychodzą nasze dzieci powierzone niańkom — proszę niech się czasami rodzice tych ofiar poświęconych przyjemnościom wojskowym przekonają. Hetmańskie Wały również zdobyła giełda lwowska, nucąc „an der schönen Peltew", a Towarzystwo przemysłowe w ogrodzie pojezuickim, naśladując Osmana paszę, sypie przy drenowaniu drugą Plewnę, mimo że kredyt 60 milionów jeszcze nie pokryty.

Na placu, przeznaczonym do budowy gmachu sejmowego, wre ruch życiem, stukiem, dymem: fundamenta się kopią, materyały zwożą i kiedy poczciwa szlachta przyjedzie na posiedzenia sejmu w sierpniu, przelęknie się, zobaczywszy jaki to obszar zajmie ta nowa kamienica, w której mają kiedyś radzić o sprawach narodowych. Nie tylko Paryż może się szczycić swojem Trocadero — my jeszcze coś lepszego i okazalszego postawimy na pomieszczenie wystawy rozumów galicyjskich.

A propos Paryża, dotąd jakoś publiczność lwowska nie bardzo się gorączkuje do jazdy w tamte strony. Gazety opowiadają, że tam cuda się dzieją, że tylko zdrowia i pieniędzy daj Boże a nie trzeba już raju Nawet mamy swoich jurów, czy jury dla tej wystawy, naznaczonych w osobach hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego i p. Abrahamowicza; nie słyszeliśmy tylko, aby korporacya rękodzielników i przemysłowców tutejszych wysyłała tam kogo dla przypatrzenia się postępowi pracy całego świata. Mamy muzeum przemysłowe, mamy Stowarzyszenie Gwiazda, a dotąd nie możemy się zdobyć na Muzeum modeli, gdzieby młodzież rzemieślnicza oglądać mogła wzory nowych wynalazków, jakimi przemyślni inicyatorowie na Zachodzie zarzucają całą Europę. Kiedy nowy fason wyrobów już cały świat obiegnie, rzemieślnicy nasi dopiero zdecydują się wprowadzić go do swoich warsztatów, tymczasem nicby nie zawadziło ciągle być obznajamianym ze wszystkiemi nowościami na tem polu. Jeżeli Muzea mają mieć jaki użytek dla publiczności, powinny nieustannie wzbogacać się nowymi modelami, a gdzież takowych najłatwiej szukać teraz, jak na wystawie paryskiej. Byłoby więc pożądaną rzeczą wysłać zastęp najzdolniejszych rzemieślników naszych, z każdej gałęzi przynajmniej po jednym, i to pod przewodnictwem technika, którzy badając odpowiednie klasy wyrobów, przywieźliby do kraju rysunki, modele i opisy przedmiotów, godnych rozpowszechnienia w naszych warsztatach. Tym sposobem czy w Muzeum miejskiem, czy w zbiorach stowarzyszenia Gwiazdy, powinny powstać zbiory modeli, i te ciągle być pomnażane, aby ucząca się młodzież rzemieślnicza i sami panowie majstrowie mogli mieć jakie takie wyobrażenie o pracy i inicyatywie ludów, dla których wyrabianie latami jedných i tych samych przedmiotów nie jest wystarczającem. Dzisiaj kto chce odpocząć, skazuje się na śmierć, a my nie tylko że umrzeć nie chcemy, ale przeciwnie marzymy o odrodzeniu.

* * *

(T.) W piątek 10. maja odbył się trzeci muzykalny wieczór Towarzystwa muzycznego. Zebrała się na nim, jak zwykle, publiczność wykształcona na klasycznej muzyce. Częstowano ją kwartetem Haydna i triem fortepianowem Beethovena, które oba wzorowo były odegrane. Prócz tego było trochę śpiewu.

Charakter tych wieczorów stanowczo się różni od wszelkich innych koncertów, na których zwykle z jednej strony chodzi o popisanie się techniką muzyczną, z drugiej o wystawę tualet i t. p. Wieczorki muzyczne mają charakter zaciszny, o nic tam innego nie chodzi, jak tylko o samą muzykę, dla której uszanowanie zamyka drzwi spóźnionym gościom, tak że ci dopiero po ukończonej produkcyi mogą wejść do sali.

To też kto chce kosztować muzyki klasycznej z zupełną swobodą i bez wszelkiej dystrakcyi, niech chodzi na wieczorki Towarzystwa muzycznego. Zauważyliśmy, że grono kosztujących tej muzyki składa się niemal wyłącznie z kobiet; stosunek obecnych mężczyzn do kobiet był może jak 1 do 5. Ten sam objaw powtarza się i na odczytach, zachodzi więc pytanie, co robią mężczyźni w ten czas, kiedy kobiety słuchają muzyki lub odczytów? Mężczyźni, jeżeli nie są zajęci, piją piwo — każdy bawi się, jak umie.

* * *

(M.) Odkąd istnieje t. z. Bank rustykalny we Lwowie zawsze atakowano go z rozmaitych stron i dowodzono, że udzielany przez tenże zakład włościanom kredyt, nie wyjdzie im na dobre. Lecz włościanie, potrzebujący pieniędzy, cisnęli się do banku, jak ćmy do światła. Bank im pożyczał, ile tylko chcieli, i wydawał na tej podstawie listy dłużne, które znalazły pokup na giełdzie. Więc zarząd jego mógł nie dbać o owe

krytyki dziennikarskie — bo miał pieniądze. A wiadomo, że kto ma pieniądze w dzisiejszych czasach, ten nie wiele potrzebuje oglądać się na to, co o nim mówią. Zresztą pokazało się, że i redaktorowie nasi to znowu nie takie straszne stworzenia, których nie możnaby udobruchać; *est modus in rebus*...

Więc rozkwitał bank rustykalny. Obecnie doszedł do tego, że obciążył wierzytelnościami swojemi blisko 60.000 gospodarstw włościańskich, co umożliwiło mu puścić w grę giełdową tyleż gospodarstw włościańskich, które przedstawiają ogólną wartość około czterdziestu milionów złr. a z któremi jest związaną egzystencya kilkukroć sto tysięcy ludzi ciemnych, bezradnych, zdolnych tylko do pracy uczciwej przy roli — do niczego innego. Jeżeli zaś ci ludzie pozbawieni zostaną ziemi, z którą się zrośli, to raz wykolejeni ze zwyczajnego trybu życia albo w niemej rezygnacyi będą umierali z głodu na włóczędze tułaczej, albo chyba drugich będą zabijali w walce o byt...

A ku temu idzie...

Chłopi nie płacą bowiem rat umorzenia pozaciąganych w banku włościańskim pożyczek. Na 8,421 000 złr. wszystkich wierzytelności banku zalegało z końcem roku 1877 u dłużników blisko półtrzecia miliona złr. kapitału i odsetków. Cóż robić z takimi dłużnikami? Nie ma innej rady, tylko potrzeba ich licytować, gdyż bank potrzebuje pieniędzy na wypłatę wylosowanych listów dłużnych, kuponów na dywidendę, na koszta administracyi, na podatki i t. d. Więc licytuje dyrekcya tego i owego z opieszałych dłużników, postępując w tym względzie co prawda nader wyrozumiale, ułatwiając, o ile to tylko było możliwem, ugodne załatwienie sprawy. W roku 1876 przecież wypowiedziała dyrekcya banku rustykalnego sądownie pożyczki 955 dłużnikom, a 153 gospodarstw sprzedała rzeczywiście; w roku 1877 zmuszoną już była wypowiedzieć pożyczki w drodze sądowej 2951 dłużnikom, a sprzedano około 500 gospodarstw.

Jeżeli tak co roku ilość wywłaszczeń egzekucyjnych powiększałaby się w potrójnej albo poczwórnej progresyi, to do czego to doszłoby? Gdyby np. znalazła się kompania jakichś obcych spekulantów, np. pruskich, którąby wykupywać poczęła włościańskie grunta w Galicyi, wystawiane przez Bank rustykalny na sprzedaż, to do jakich przewrotów społecznych mogłoby to doprowadzić kraj nasz, i tak już skołatany rozmaitemi innemi agitacyami?

Teraz tak rzeczy stanęły, że albo zginąć muszą dłużnicy Banku rustykalnego, albo Bank rustykalny musi zbankrutować. Pośredniej drogi nie ma. Przy bliższem roztrząsaniu pokazuje się zresztą, iż dotychczasowy sposób traktowania pozwów płatniczych dyrekcyi c. k. uprz. Zakładu kredytowego włościańskiego przez sądy powiatowe, o ile te pozwy odnosiły się do nietabularnych pretensyi tegoż Banku, był zupełnie niewłaściwy, że dekretowano niejednokrotnie egzekucyjne nakazy płatnicze całkiem niesłusznie.

Nakładem Księgarni Polskiej wyszła właśnie broszura pt.: *O c. k. uprz. Zakładzie kredytowym włościańskim we Lwowie*, napisana przez Teofila Merunowicza, w której dokładniej są roztrząśnięte wszystkie nadmienione powyżej wątpliwości i zarzuty. Jeżeli dyrekcya Banku rustykalnego nie udowodni mylności zawartych w tej rozprawie twierdzeń, to rzeczywiście potrzeba będzie powziąć bardzo złe wyobrażenie o stanie interesów tego zakładu. Tem naglejsza przeto zachodzi potrzeba ratowania takiej masy ludności ciemnej i bezradnej, którą Bank ma w swem ręku.

Kwestyą Banku rustykalnego w tem stadyum, w jakiem ona obecnie znajduje się, uważać potrzeba za groźną zarówno dla tejże samej instytucyi, jak niemniej także dla olbrzymiej masy włościan i dla społecznego spokoju w ogóle. Zasługuje ona więc na to ze wszech miar, ażeby kompetentne władze ściśle zbadały, o ile przytoczone w rozprawie T. Merunowicza twierdzenia są uzasadnione, *a jeżeli są uzasadnione, ażeby zarządzone zostały odpowiednie środki zaradcze.*

TEATR.

(*W Alpach*, obrazek dramatyczny w dwóch aktach, przez p. Zofię Melerową; piąty występ gościnny panny Maryi Deryng).

Tytuł sztuki jest bardzo niewyraźny; wskazuje on tylko na miejsce, gdzie się rzecz dzieje i to wskazuje bardzo niedokładnie, zważywszy na to, że Alpy ciągną się od zatoki genueńskiej do Wiednia, i bardzo rozmaite etnograficzne żywioły zawierają w swoich ścianach. Z większem prawem większa część komedyi francuskich mogłaby nosić tytuł: „W Paryżu“. Jeżeli w naszych Karpatach hucuł kołomyjski pod względem zdolności, usposobień, stroju i zwyczajów tak bardzo się różni od sąsiedniego bojka stryjskiego, to cóż za różnice zachodzić muszą i zachodzą na ogromnej przestrzeni Alp, gdzie się cztery rasy: germańska, celtycka, romano-retyjska i słowiańska w najrozmaitszych kombinacyach spotykają.

Tę niejasność tytułu wynagradza skazówka, że rzecz dzieje się na pograniczu Włoch i Tyrolu. W każdym jednak razie ta niejasność wskazuje na zakłopotanie autorki, nie mogącej dobrać lepszego, wyraźniejszego tytułu dla swojej sztuki, zakłopotanie zaś to, jak się można domyślać, pochodzi ztąd, że autorka nie wiedziała, co w jej sztuce rościć może większe prawo do uznania publiczności, czy tło alpejskie, czy myśl rozwinięta w intrydze.

Autorka, dając tytuł „W Alpach“, a zatem stawiąc wyżej tło nad fabułę, a raczej nad myśl w niej zawartą, pomyliła się podług mego zdania. Tło bowiem przypomina owe tysiączne krajobrazy górskie z czekoladowemi skałami pokrytemi lukrem lodowców z kaskadami i rozmaitemi innemi dziwami krainy górskiej, bez których się podobny krajobraz nie może obyć. Otóż krajobrazy te, pomimo nagromadzenia cudów i dziwów przyrody, nudzą nas zwykle swoją stereotypową martwotą; wszystko tam jest, oprócz tego, coby do nas mogło przemówić, obudzić w nas jakieś uczucie, jakąś myśl, jakieś wspomnienie.

Jeżeli tło jest podobne do tych krajobrazów, to przeciwnie fabuła sztuki p. Mellerowej jest dość głęboko pomyślaną, jakkolwiek niezupełnie szczęśliwie rozwiniętą. Franciszek, artysta-malarz, który dla widoku pięknej góralki Neli trzy miesiące gotów był bawić w małej wiosce tyrolskiej, który w najlepszej wierze przysięgał jej wierność, ażeby w tydzień po rozstaniu się z nią zapomnieć o jej istnieniu, jest postacią, wybornie reprezentującą cały zastęp entuzyastów, którymi chwila rządzi samowładnie, w których myśl „nie trwa dłużej pół godziny“, którymi wrażenia rzucają, jak piłką, na różne strony. Entuzyaści tacy wiele dobrego zrobić mogą na czele szwadronu w szarży, „ktora nie trwa pół godziny“, albo w jakiejś innej podobnej sytuacyi, ale gdzieindziej są chodzącem niebezpieczeństwem. Jeżeli taki entuzyasta, obdarzony czarem artystycznej wyobraźni, piękności i młodości, spotka się z sercem pięknej dziewczyny, to wnet się zapala, ale na to tylko, aby rzucić iskrę w jej serce i oddalić się od pożaru przez siebie wznieconego.

Takim entuzyastą jest Franciszek, taką ofiarą Nela. Dwa lata już upłynęło od czasu, jak ją opuścił, jednak Nela wierzy święcie w powrót kochanka. Ojciec Neli, Angelo, stary garybaldyjczyk, postanawia wydać Nelę za swego przyjaciela Demetria, któremu wiele zawdzięcza, a który szalenie kocha dziewczynę, pomimo iż ta mu w oczy powiada, iż go nienawidzi. Energiczna dziewczyna stawia opór woli ojca, nareszcie ulega i trzeba przyznać, że ulega może zbyt łatwo, jak na tak energiczną istotę. Ledwie ceremonia ślubna dopełniona, kiedy, jak w Lukrecyi z Lamermoru, zjawia się kochanek. Franciszek, tą samą drogą, którą jechał do Rzymu, wraca teraz do Warszawy w towarzystwie przyjaciela Romana, którego rodzina Franciszka umyślnie wysłała, aby jej sprowadził marnotrawnego syna. Widok okolicy przypomina Franciszkowi Nelę, którą niebawem spotyka, i znów zakochany, znów przysięga jej wierność i miłość do końca życia i gotów ją zaraz uprowadzić od tylko co poślubionego męża. Nela wchodzi na parę chwil do domu, aby zabrać z sobą niektóre rzeczy, i tych parę chwil jej nieobecności wystarcza Romanowi do przekonania Franciszka, że popełnia szaleństwo, że naraża nietylko los własny, ale i samejże Neli, która przed chwilą została komu innemu poślubioną, i że nic innego nie zostaje jemu, Franciszkowi, jak co rychlej, natychmiast, ztąd się oddalić. Przekonany Franciszek odchodzi, tymczasem zjawia się Nela gotowa do podróży, widzi zbliżającego się męża, przypomina sobie, iż ten zagroził jej, że w razie ucieczki znajdzie ją choćby na końcu świata, przykłada karabin do oka (karabin w ręku Neli jest tem, czem wachlarz u dam salonowych) strzela, Demetrio pada, Roman nadbiega i tłomaczy Neli odejście Franciszka.

Gdyby Nela na wieść o odejściu Franciszka rzuciła się ze skały, sztuka zakończyłaby się krótko i węzłowato a główna myśl sztuki większego by nabrała aplombu. Ale nie, autorka każe jeszcze żyć Neli, każe przekonać się o wspaniałomyślności Demetria, który otrzymawszy strzał z ręki Neli, a bojąc się, aby jej za to w razie jego śmierci nie karano, miał czas (ku wielkiemu zdziwieniu widza, który zupełnie sobie inne o nim wyrobił pojęcie) miał czas, powtarzam, za kulisami napisać kartkę, że strzał z własnej jego pochodził ręki. Nela na taki dowód szlachetności rzuca się ku niemu i przysięga być mu wierną żoną.

Postacie Neli i Franciszka są pełne i żywe; za to w zachowaniu Angela i Demetrya za wiele autorka myślała o lokalnym kolorycie, za mało o tem, co stanowi typ ludzki, niezależny od barw lokalnych.

Rola Neli zupełnie odpowiada rodzajowi talentu panny Deryng, to też stworzyła artystka bardzo wdzięczną postać namiętnej, silnej, zuchwałej i zręcznej dziewczyny góralskiej, i efekta, zawarte w ostatnich scenach, wydobyła z właściwą sobie siłą. Za to rola Demetria nie była dla p. Zamojskiego, jak rola Franciszka dla p. Terenkoczego. Wiele naturalności miała gra p. Lubicza w roli Romana i zjednała mu nawet oklaski.

Co się tyczy „Stryja Sama“, którego przedstawiono w przeszły poniedziałek, to gra panny Deryng w roli Sary znaną nam była dawniej. Nie będę się więc nad nią rozpisywał, i poprzestanę na uwadze, że Sara należy do najlepszych ról panny Deryng. Całość przedstawienia odznaczała się pewnem zaniedbaniem. P. Dobrzański, który grał dawniej rolę młodszego Tapplebota, świecił tym razem swoją nieobecnością a p. Walewski, który zastępował jego miejsce, zanadto podobny był do lwowskiego goga, za mało do amerykańskiego aferzysty.

Wtorkowe przedstawienie „Żydówki“ było zarazem pożegnaniem p. Millera, którego Lwów bardzo pokochał i z wielkim żalem żegnał, słodząc sobie pożegnanie nadzieją, że jeszcze go kiedyś ujrzy.

J. X.

BIBLIOGRAFIA POLSKA.

— *Lassale Ferdynand*. Kapitał i praca czyli Pan Bastian-Szulce z Delicza, Julian ekonomiczny, przełożył K. W. 8ka str. 211. Lwów 1878. 1. fl.

— *Merunowicz Teofil*. Bank rustykalny. 8ka str. 24. Lwów 1878. 40 ct.

— *Obecna chwila*, przez byłego Posła na sejm krajowy. 8ka str. 27. Kraków 1878. 25 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** Dziwna rzecz zaprawdę, iż żadna z cukierni lwowskich, z których niejedna posiada dużo

nawet zagranicznych gazet, nie może się zdobyć na zaprenumerowanie „Biblioteki Warszawskiej,“ „Ateneum.“

Zdaje nam się, że własny interes pp. cukierników winienby ich do tego nakłonić.

Znalazłoby się wielu, którzy chętnie podążyliby do takiego zakładu, dla pobieżnego choćby przejrzenia warszawskich poważniejszych czasopism.

Wydając moc franków na „Figaro“ lub „Journal Amusant,“ „Blatty“ i „Pressy,“ powinniby panowie cukiernicy znaleść marne parę reńskich na nasze uczciwe publikacye.

„Dziennika Poznańskiego“ nie spotykamy w żadnej lwowskiej cukierni.

*** Uniwersytet w Syberyi, jak donoszą dzienniki rossyjskie, ma być ostatecznie urządzony w Tomsku. W tym celu zatwierdzono już kosztorysy gmachu, jaki się ma wznieść. Na zbudowanie kliniki wyasygnowano 37 tysięcy rubli. Cały gmach kosztować będzie około 600 tysięcy rubli. W sumie tej znajduje się 150 tysięcy rs. ofiar prywatnych, resztę zaś przyrzekł rząd wyłożyć. Oprócz tego ministerstwo skarbu wyznaczyło 100 tysięcy rs. na zakupno przedmiotów naukowych. Gmach uniwersytetu ma być ukończony na dzień zbliżającego się 300 jubileuszu zdobycia przez Rossyan Syberyi.

*** W ubiegłym miesiącu dzienniki angielskie, a na ich czele „Morning Post“ kilkakrotnie, a bardzo pochlebnie wspomniały o wystąpieniach przed wyborową publicznością wielkiego świata londyńskiego dwóch sióstr Bulewskich. Młodziuchne te, a przytem wzorowie pod każdym względem wychowane Polki, wnuczki śp. Leona Zienkowicza, niepospolitym szczycą się talentem. Starsza Wanda, uczennica Beriot'a (syna), odznacza się piękną grą na fortepianie; młodsza Jadwiga, ulubiona uczennica sławnego Vieuxtemps'a, śmiało do pierwszorzędnych już skrzypków zaliczoną być może. W zeszłym roku siostry Bulewskie dały się kilka razy słyszeć w Paryżu bądź w salonach prywatnych, bądź w własnym koncercie. Obecnie młode nasze artystki zbierają laury w Londynie, miejscu swego urodzenia.

Owóż dowiadujemy się z gazet angielskich, jak również z prywatnych źródeł, że panny B. z niezwykłem w ich wieku zwłaszcza powodzeniem dały się niedawno słyszeć w kilku koncertach i porankach muzykalnych w stolicy Wielkiej Brytanii, a mianowicie:

dnia 26. marca na koncercie patronowanym przez następcę tronu angielskiego i ambasadorów wszystkich mocarstw na korzyść londyńskiego Towarzystwa biednych cudzoziemców;

dnia 2. kwietnia na wielkim wieczorze u margrabiego d'Harcourt, ambasadora francuskiego;

dnia 3. kwietnia na wielkim poranku muzycznym danym przez księcia Westminster w własnym jego pałacu na dochód szkoły marynarki. Obecni na tym poranku następca tronu i jego małżonka tak dalece zachwyceni byli grą pełną wdzięku i werwy panny Jadwigi B., że na ich wyraźne żądanie artystka wykonać musiała po nad program koncertu wielki polonez Vieuxtemps'a.

Wreszcie dnia 12. kwietnia w koncercie na korzyść rannych tureckich u księcia Sutherland.

Z przyjemnością podajemy szczegóły powyższe, gdyż przekonani jesteśmy, że czytelnicy nasi radośnie powitają te nowe talenta polskie, zaszczyt i chlubę wobec zagranicy nam przynoszące.

Stowarzyszenia.

*** Liczba stowarzyszeń lwowskich wynosiła z końcem 1876 roku 145, nie licząc w to akcyjnych i na osobnych przywilejach opartych instytucyi finansowych. W ciągu roku 1877 przybyło 10, ubyło jedno, pozostało zatem 154. Stowarzyszeń ku szerzeniu oświaty, nauk i sztuk było z końcem 1877 roku 19, przybyło towarzystwo ukończonych techników, jest więc razem 20. Stowarzyszeń ku podniesieniu gospodarstwa krajowego 6. Czytelń, stowarzyszeń oświaty robotników i kasynowych liczą 11. Stowarzyszeń wzajemnej pomocy istniało 23, przybyło zaś towarzystwo wzajemnej pomocy naukowej słuchaczy akademii technicznej i towarzystwo pogrzebowe galicyjskich konduktorów pocztowych, razem więc 25. Izraelickich towarzystw wzajemnej pomocy, religijnych i dobroczynnych istniało 49, przybyły „Lomdai Schlichan,“ „Agidas Zorfei Suef Wuchesef“ i „Meal Zedoke,“ razem 52. Towarzystw dobroczynnych 7. Stowarzyszeń politycznych 2, przybyło „Dorsche Schulem,“ razem 3. Rozmaitych innych było 11, przybyło stowarzyszenie święcenia niedziel i dni uroczystych i klub szachistów, razem 13. Towarzystw zaliczkowych jest we Lwowie 8 Innych towarzystw zarobkowych i gospodarczych istniało 9, ubyło towarzystwo produkcyjne krawców, przybył galicyjski zakład zastawniczy i kredytowy, stowarzyszenie zarejestrowane z ograniczoną poręką, pozostaje tedy 9.

Przemysł.

*** Zegarmistrzowstwo. Genewa ma świetnie wystąpić na wystawie powszechnej w Paryżu, z bižuteryami i zegarkami, w których wyrobie odznaczają się przeważnie Polacy zamieszkali w Szwajcaryi. Przed kilku dniami dziennik „Journal de Géneve“ umieścił następujący artykuł: „Między wyrobami zegarmistrzowstwa, które mają być wysłane, albo są już wysłane na wystawę paryską, te, które noszą znak p. Wawrzyńca Gostkowskiego, zasługują na szczególną wzmiankę nie tylko dla specyalnej swej wartości, ale i dla tego, żeśmy je winni całkowicie pracy tego młodego, rzeczywiście utalentowanego robotnika. Pan Gostkowski jest uczniem p. Majewskiego, który otrzymał niedawno wielką honorową nagrodę. Oprócz pana Gostkowskiego, do najlepszych zegarmistrzów w Genewie liczą jeszcze Bandurskiego.“

Nekrologia.

† Zmarł w dniu 9. maja w Warszawie Antoni Barciński, b. profesor matematyki w b. liceum i w b. instytucie marymonckim, oraz b. naczelnik kancelaryi górnictwa.

Zmarły należał do najzdolniejszych w kraju pedagogów i buchalterów, a przez długi czas był dyrektorem żeglugi parowej na Wiśle.

Napisał on dawniej już i wydał wyborny podręcznik do nauki arytmetyki, oprócz tego broszury: „O giełdzie londyńskiej,“ „O giełdzie paryskiej,“ etc., i w ostatnich czasach godną uwagi „Buchalteryę podwójną,“ uważaną za dzieło klasyczne.

Ś. p. Antoni zaprowadzał urządzenie buchalteryjne w b. komisyi skarbu i w towarzystwie kred. ziemskiem.

Od kilku lat usunął się od pracy publicznej.

OSTATNI ROMANS.

Nowella.

(Dokończenie).

„Spędziłyśmy więc w Paryżu około dwóch tygodni czasu, na zwiedzaniu najpierwszych magazynów i w ciągłych konferencyach z najsłynniejszymi mistrzami i mistrzyniami igły i nożyczek. Bezpośredniem następstwem tej syzyfowej prawie pracy, było niepomierne zwiększenie się naszych bagaży, tak, że w dniu wyjazdu przybyliśmy na dworzec kolei Orleańskiej, ni mniej ani więcej jak z dwunastoma kuframi wielkiemi jak kamienice. Moje panny uszczęśliwione były temi olbrzymiemi zapasami, jak również powrotem do swych ukochanych, którzy przez cały czas pobytu naszego w Paryżu zasypywali nas telegramami w dowód tęsknoty swej i niecierpliwości. Ja tylko jedna czułam się bardziej jeszcze znużoną i zniechęconą; w tak odmiennem usposobieniu przybyłyśmy nareszcie do Hendaye.

„Wiadomo panom, że na drodze z Paryża do Madrytu stacya Hendaye odróżnia się od innych pod trzema względami: naprzód, trzeba się w niej zatrzymać dłuższy czas, co jest rzeczą nie zbyt przyjemną, kiedy już prawie jest się jedną nogą w Hiszpanii; powtóre, je się tam obiad, co znowu, z uwagi na dobrą kuchnię miejscową, stanowi pewną kompensatę za nudy oczekiwania; i po trzecie, zmienia się tam pieniądze francuskie na złoto hiszpańskie.

„Przez proste zapomnienie, miałam jeszcze przy sobie przeszło 2 000 franków w złocie i papierach; wraz z innemi przeto podróżnymi zwróciłam się do stacyjnego wekslarza. O kilka kroków od jego kantoru syczała już lokomotywa, mająca nas powieść dalej. Tymczasem przed okienkiem był taki natłok, że niechcąc być literalnie zgniecioną, zmuszoną byłam czekać aż przyjdzie na mnie kolej, w obec wielkiego prawdopodobieństwa, że się nie doczekam i odjadę nie uskuteczniwszy zmiany moich pieniędzy.

„W tej chwili zbliżył się do nas stojący niedaleko młodzieniec i przemawiając czysty hiszpańskim językiem, ofiarował nam z całą uprzejmością swoje usługi. Widząc że ma zmienić dla siebie, trzymał bowiem również sakiewkę prawdopodobnie napełnioną złotem, oraz ujęta jego przyzwoitą powierzchownością, śmiało powierzyłam mu moje pieniądze, szepcząc kilka słów podziękowania. On śmiałym rzutem przesunął się przez pierwszy szereg i znikł w tłumie; po kilku sekundach ukazał się napowrót, i wręczając mi moje pieniądze, zmienione na hiszpańskie złoto, z prawdziwie salonową galanteryą odpowiedział na ponowne z mej strony podziękowania.

„O ile pożytecznem okazało się nam jego pośrednictwo, nie mniej pożądanym był i powrót jego; nieubłagany dzwonek wzywał już do dalszej podróży, a sakramentalne „proszę siadać,“ popchnęło cały ów tłum podróżnych w kierunku peronu. Uprzejmy młodzieniec podał mi rękę i przeprowadził mnie do wagonu; córki moje szły przed nami. Zająwszy miejsca, chciałam mu po raz ostatni podziękować, gdy spostrzegłam, że on również wchodzi do naszego coupé, usprawiedliwiając się, że jedzie także do Hiszpanii, z czego obecnie niezmiernie jest zadowolony. Słowa jego wyrzeczone z taktem znamionującem dobre wychowanie, były pomiędzy Francuzem a nami stanowczym zawiązkiem owej poufałości bez żadnych następstw, owej parodyi przyjaźni, łączącej zawsze i wszędzie przypadkowych towarzyszów podróży.

„Cóż zresztą może być niestosownego, albo niebezpiecznego w kilku-godzinnej rozmowie z człowiekiem, z którym po niejakim czasie, jutro najdalej rozłączymy się na zawsze? Owszem, czyż można odbywać podróż z osobami mniej lub więcej, albo nawet i wcale nieznanemi, żyć z niemi tem samem życiem i nie rozmawiać?.. Na to trzeba być chyba Anglikiem albo Niemcem, a przynajmniej posiadać równą z tymi panami dozę pogardy dla swych współbliźnich i całej nieomal ludzkości.

„Młody nasz towarzysz był wysokim i szczupłym blondynem, posiadał więc warunki niezbędne, zdaniem mojem, aby mężczyzna mógł się podobać; oczy miał ciemno niebieskie jak błękity ukochanej mojej Andaluzyi w pogodną noc czerwcową; a jasny wąsik do połowy tylko zakrywał rumiane usta, zdradzające pełnię młodości i zdrowia.

„Jeden szybki rzut oka wystarczył mi na nabranie przeświadczenia, że młodzieniec to nie tylko przystojny, ale i dobrego tonu, co daleko więcej znaczy. W ciągu najwyżej pięciu sekund zbadałam w najdrobniejszych szczegółach całą jego powierzchowność, wykwintny strój podróżnego ubrania, cieniuchną aż do przesady bieliznę, gustowny złoty łańcuszek przy zegarku, rękawiczki niepokalanej świeżości, uderzająco białe zęby, staranny chód bez pretensyi, układ włosów, wszystko aż do zgrabnych bucików, okrywających małą prawdziwie arystokratyczną nogę.

„Przegląd ten, oparty na mojem doświadczeniu czterdziestoletniej kobiety, przenikliwej jak każda Andaluzyanka, najkompletniej uwieńczony został dalszą rozmową, w której nasz towarzysz podróży okazał wysokie wykształcenie, umysł niezwykły i obejście się zdradzające człowieka wyższego świata.

„Pochodził z Normandyi; imię miał Edmund, imię najmilsze dla mnie z całego kalendarza; był zaś sierotą, z całej rodziny pozostał mu bowiem tylko stryj stary, zamieszkały w Bretanii. Jako inżynier i technik leśny, zajmował się urządzaniem i eksploatacyą olbrzymich lasów sosnowych, rozciągających się pomiędzy Bordeaux i Bayonną a zasilających całą Francyę smołą i wytworami żywicznemi.

„Nie wiedział jeszcze z pewnością, czy pojedzie wraz z nami do samego Madrytu; zależało to od depeszy jaką miał dostać na stacyi Miralda. Wszystkich tych szczegółów o sobie udzielił nam, rozumie się, nie zaraz w pierwszej chwili, ale wypowiedział je mimowolnie, z zupełną swobodą w toku ożywionej rozmowy. Z mojej strony i ja nie zaniedbałam objaśnić go o wyjątkowym celu naszej podróży, do czego czułam się niejako zobowiązaną. Prawdopodobnie bowiem, wyszukana jego uprzejmość, mogła być spowodowana wdziękami jednej z moich córek, a w takim razie, sama wdzięczność nakazywała mi uchronić pana Edmunda od niemiłego zawodu.

„Udzielone wszakże przezemnie wyjaśnienie nie zdawało się wywierać nań żadnego wrażenia. Był ciągle również jak przedtem wymowny, usłużny i nadskakujący, lecz tem więcej jeszcze upartym okazał się na jednym punkcie, którego nie umiałam sobie żadną miarą wytłomaczyć od chwili gdy wsiadł z nami do wagonu: to jest, ciągle spoglądał na mnie, na matkę, na kobietę, na którą z nas trzech najmniej patrzeć się godziło, a spoglądał

z uporem, przenikliwością i natarczywością, prawdziwie zatrważającą. Uprzejmość jego, usłużność, komplementa i uśmiechy, odnosiły się do moich córek; ale spojrzenia jego zwracały się bez przerwy ku mnie. A jakież to spojrzenia! Niepodobna było się łudzić; w spojrzeniach tych czytało się wyraźnie, jakby w książce: „Wywierasz pani na mnie wpływ nieopisany, którego pokonać nie jestem zdolny“. Spojrzenia podobne mieszczą w sobie całą gammę uczuć wprost z serca i z szybkością iskry elektrycznej, zjednywają sobie sympatyę, bez której niemożliwem jest zyskanie wzajemności kobiety, a dzięki której, w jednem okamgnieniu przebywa się większą połowę drogi prowadzącej do obronnej fortecy, zwanej sercem nieczułem!

— „Ach! ileż to razy myślałam sobie, że gdyby mężczyzni zamiast uczyć się, jak pochlebstwami i słodkiemi słówkami zdobywa się serce kobiety; uczyli się tylko patrzeć wymownie, żadna najobojętniejsza nawet kobieta, nie byłaby w stanie oprzeć się potędze ich wzroku!

„W tem miejscu, kochani panowie, przychodzi mi wspomnieć o całym szeregu rumieńców, jakie upamiętniły tę ważną chwilę w mem życiu. Skoro już rozpoczęłam, nie zbyt może rozsądnie, to opowiadanie, spowiedź moja niech już będzie zupełną, cokolwiek by to miało mnie kosztować.

„Przedewszystkiem wyznać muszę, że uporczywe spojrzenia młodzieńca wywołały na mnie pewien rodzaj jakiejś nieokreślonej obawy, którą napróżno pokonać chciały zwykła moja obojętność i doświadczenie kobiety dojrzałej, matki dzieciom. Daremnie unikałam despotycznego uroku tych dwojga niebieskich oczu, które rozgospodarowały się w moich, jakby w własnym domu... Rzecz nie do uwierzenia! Kiedy nie patrzyłam wcale na zuchwałego i milczącego mojego prześladowcę, wtenczas najbardziej czułam ciężący na mnie wzrok jego. Czterdzieści lat panowania nad sobą rozwiało się pod magnetycznym wpływem tego spojrzenia, powtarzającego mi bez przerwy jedno słowo, które napróżno nie chciałam odgadnąć, jedno słowo: „kocham cię.“ Napróżno usiłowałam odpowiedzieć mu wzrokiem: „Ależ nie bądźże natrętnym i śmiesznym; jestem już nie młoda i bez pretensyi; oddawna już wywietrzały mi z głowy podobne słabostki i niedorzeczności, szkoda czasu na twoje zabiegi!“ Zaledwie kończyłam, łagodne te i nieubłagane oczy, powtarzały mi znowu: „Kocham cię!“ — a co najgorsza, że zaczynałam już wmawiać w siebie, że ta miłość może być szczerą, a coś tam we mnie, po lewej stronie, szeptało uporczywie, iż niekoniecznie bardzo się gniewam, żem się podobała mojemu prześladowcy.

„Odkrycie to, rozumie się, nie najlepsze dało mi wyobrażenie o sercu kobiecem, tem większą wszakże wzbudziło we mnie chęć stanowczego rozmówienia się z moim natrętnym tyranem, aby kilku słowy odebrać mu raz na zawsze ochotę zaglądania mi w oczy.

„Sposobności takiej dostarczyła nam zbliżająca się noc, zwykła w podobnych okolicznościach pośredniczka. Około dziesiątej wieczorem, blisko na dwie godziny przed stacyą Miralda, rozmowa zaczęła słabnąć, córki moje otulone szalami, usadowiły się do snu, każda w oddzielnym rogu wagonu, trzeci róg ja zajmowałam a naprzeciwko mnie siedział Edmund. Po chwili podniósł się, aby zasłonić lampę, ale zamiast wrócić na swoje miejsce, zbliżył się do mnie, i skłoniwszy się zapytał półgłosem:

— Zechcesz pani udzielić mi tę łaskę i wysłuchać mnie przez chwilę?

— Słucham pana — odpowiedziałam, wskazując mu wolne obok mnie miejsce.

Usiadł więc na prawo odemnie, zanim jednak zaczął mówić, przemogłam się i rzekłam:

— Spodziewam się, że to co masz pan mi powiedzieć a co zgodziłam się wysłuchać, tak pod względem treści jak i formy, godnem będzie mnie i pana.

— Sama pani osądzisz — odpowiedział. — Nie myślę abym mógł dać jakikolwiek powód do zarzucenia mi śmiesznej lekkomyślności. Nie jestem ani błędnym rycerzem polującym na romansowe przygody ani też dzieckiem. Nie powiem pani, że cię uwielbiam, że gotów byłbym towarzyszyć ci na koniec świata, ani też nie będę usiłował wmówić w panią frazesami czerpanemi z romansów, żeś wzbudziła w mem sercu jedną z owych szalonych namiętności, co powstają w jednej chwili i stanowią o całej przyszłości człowieka. Wiem dobrze, jaka może i powinna być rozmowa pomiędzy kobietą takiej wartości jak pani, a takim jak ja mężczyzną; pragnę też zwrócić się do pani z jedyną tylko prośbą, szczerość której zapewniona jest pokorą z jaką ośmielam się przedstawić ją pani. Czy raczysz pani wysłuchać tej prośby, czy też samą wzmiankę o niej poczytywać będziesz za obrazę?

— Zobaczymy co to za prośba — odrzekłam.

— O pani! — mówił dalej z wzrastającem ożywieniem i przysuwając się do mnie — dobroć z jaką raczysz mnie słuchać, byłaby wystarczającą pobudką, abym za żadne skarby świata nie chciał, byś pani miała żałować tego. Jedyną prośbą jaką pragnę zanieść do ciebie pani w imię głębokiego szacunku mego jest nieśmiałe życzenie, abyś pani przyjęła moją przyjaźń i w zamian zaszczyciła mnie swoją, do której, wierzaj mi pani, niezmierną przywiązuję cenę. Radbym z duszy całej, abyśmy za godzinę, w chwili pożegnania, mogli rozstać się nie jak istoty obce i zupełnie obojętne, nigdy już więcej nie mające spotkać się z sobą na tej ziemi. Błagam więc o łaskę, aby mi wolno było złożyć pani moje uszanowanie w Madrycie, gdy sprowadzą mnie tam losy, o przyspieszenie czego sam już będę umiał się postarać. Otóż i wszystko co chciałem pani powiedzieć, jakże ukarzesz mnie pani za moją śmiałość?

— Udzielając panu z całego serca to, o co tak gorąco umiesz prosić — odpowiedziałam.— Widzę, że jesteś pan człowiekiem zacnym i godnym, a ofiarując moją przyjaźń i otwierając wstęp do mojego domu, jestem pewną, że samej sobie największą zapewnię przyjemność. Ale przedewszystkiem nie czyń pan sobie żadnych iluzyi. Poznawszy mnie bliżej, kochany przyjacielu, naraziłbyś się tylko na niemiły zawód. Przyjaźń kobiety już nie młodej, matki rodziny, kobiety, obowiązkami i wymaganiami światowemi zmuszonej zamknąć swoje uczucia w ograniczonem kółku rzeczywistości, oto wszystko co mogę panu ofiarować, nic więcej.. . pamiętaj pan o tem dobrze — dodałam, czyniąc nacisk na ostatnie słowa.

— O pani! — zawołał z zapałem i przysunął się tak blisko iż czułam jak lewa ręka jego dotknęła się mojej sukni. — O tak, pani! pojmuję cię i podziwiam zarazem. Ale pozwól mi pani po raz ostatni zwrócić moją uwagę na niesprawiedliwą surowość z jaką zdajesz się dobrowolnie rozporządzać przyszłością. Nie jesteś pani kobietą zwykłą, ani też w takim wieku, abyś miała prawo przesądzać i odgadywać wyroki Opatrzności. W chwili obecnej naprzykład, gdy tak szlachetnie kończysz pani spełnienie najświętszego z obowiązków, czy mniemasz pani, że to już ostatnie goretsze uderzenie twego serca? Któż wie co może spotkać jeszcze w tem życiu kobietę taką jak pani, uposażoną tak wyjątkowemi zaletami? O! wierzaj mi pani, rzadko kiedy sprawdzają się wróżby, jakie sami dla siebie układamy, a możesz pani wierzyć pod tym względem człowiekowi, który przekonany był, że oprócz zamiłowania w pracy, nikogo na tym świecie pokochać nie zdoła, a który z ręką na sercu, sumiennie wyznać musi w tej chwili, w jak strasznym był błędzie!....

„I nie czekając mojej odpowiedzi, wrócił na swoje miejsce, a wcisnąwszy się w kącik wagonu, nie przemówił już ani słowa więcej.

* * *

„Pozostałam pod wrażeniem głębokiego wzruszenia. Jestże to prawdą? Mogłażbym ja jeszcze wzbudzić tak silne i szczere uczucie w zacnym i młodym człowieku? Jestże to rzeczą możliwą? ja, która wyszłam za mąż z miłości, która szczyciłam się, że upływające lata ani na chwilę nie zatarły w mem sercu obrazu ojca mych córek; ja, kobieta nieomal stara, starsza jeszcze duszą niż ciałem; miałażbym na sam widok młodego, pełnego zalet młodzieńca, na jego mowę tak pełną szacunku i namiętności zarazem, zapomnieć o całej przeszłości i dać się pociągnąć na bezdroża szalonej wyobraźni? Boże mój! czyż to podobna? Serce więc nie starzeje się! I pod ciężarem tylu lat smutku i pokoju, pod popiołami wielkiej boleści, jaka dotknęła mnie w jednym uczuciu, znalazła się więc jeszcze iskierka, z której powstać może silny i tem niebezpieczniejszy, że tak spóźniony pożar? Czy podobna, aby ten człowiek, ten młodzieniec zakochał się w znikającej mojej piękności......

— Miralda! dwadzieścia pięć minut!... restauracya!.. zmiana wagonów!.. — dał się słyszeć stentorowy głos konduktora.

* * *

„Zbudziłam się z moich marzeń. Edmund pomógł nam wysiąść z wagonu i odprowadził nas do restauracyi, sam zaś poszedł dowiedzieć się o depeszy, jaką miał tu otrzymać. Na linii przed dworcem dymił i świstał pociąg odchodzący do Irusz.

„Jużeśmy były po kolacyi, a prześladowca mój nie powracał. Jedna z moich córek zapłaciła na moją prośbę rachunek restauracyjny, tymczasem nadszedł też świeży pociąg mający nas odwieść do Madrytu; zajęłyśmy miejsca w wagonie, a Francuz nie zjawił się jeszcze.

„Rozległ się świst lokomotywy, pociąg ruszył zwolna w pochód; nasz towarzysz podróży stanowczo już należał do historyi starożytnej.

— Zgadnijcie też, moje kochane — zwróciłam się z zapytaniem do córek — kto to jest ten pan Edmund?

— Ja bym myślała — rzekła młodsza — że to musi być spiskowiec, bo tak jakoś tajemniczo spoglądał...

— A mnie się zdaje — przerwała jej starsza — że pomimo swoich przechwałek, jest komiwojażerem. Nie wiem dla czego, ale całe jego obejście zdradzało kupczyka.

— Otóż mylicie się obie, moje drogie; pan Edmund nie jest ani spiskowcem, ani komiwojażerem, ale jest to sobie poprostu, zwykły... złodziej kieszonkowy!

— Czy podobna! — zawołały obie, przybiegając do mnie.

— Do tego stopnia podobna, że wyciągnął mi z kieszeni portmonetkę z ośmiu tysiącami realów w złocie, czego mogłyście się przed chwilą domyśleć, gdym was prosiła o zapłacenie rachunku w restauracyi.

„Dziewczęta zaczęły się śmiać w najlepsze i ja udawałam, że śmieję się wraz z niemi, ale w głębi przejęta byłam gniewem i wstydem. Ohydny fakt nie ulegał wątpliwości, a cały plan uknuty był i wykonany po mistrzowsku. Kradzież spełnioną została pod pokrywką owych czułych i namiętnych oświadczyn. Lewa ręka, której dotknięcie uczułam na chwilę, plądrowała bezczelnie w mojej kieszeni. Filozof ten okolicznościowy, miał zupełną słuszność twierdząc, że nie wiem, co mnie jeszcze spotkać może w życiu. Było mi przeznaczonem w samej rzeczy spotkanie się ze złodziejem, odgrywającym rolę zakochanego, a gdy on kradł moje pieniądze, tymczasem ja, czterdziestoletnia kobieta, zapomniałam się do tego stopnia, iż przez chwilę łudzić się mogłam wskrzeszeniem dawno pogrzebanych w mem sercu uczuć i wstyd wyznać, marzyłam o przyjemności jakiej doznawać będę, gdy na *Puerta del sol* ukażę się z drugim moim mężem, łagodnym chłopcem a do tego młodszym odemnie...... Błąd mój słusznie został ukarany, ale zdaniem mojem kara ta była jeszcze zbyt małą, i dla tego postanowiłam sama opowiedzieć całe to zdarzenie, i oto macie panowie historyą *ostatniego mojego romansu.*“

W tej chwili zegar wygłosił północ i całe towarzystwo, zdziwione tak niezwykle opóźnionem czuwaniem, poruszyło się z wygodnych foteli, aby pożegnać uprzejmą gosposię i podziękować jej za tak mile urozmaicony wieczór. Sumienność wyznać każe, że w szczupłem kółku żegnających się, jednym z pierwszych był najmłodszy z obecnych, tu, niżej podpisany, niezmiernie rad temu, iż spóźniona pora zwolniła go od konieczności opowiedzenia ostatniej swej miłości, co byłoby tem trudniejszem dla niego, gdy nie jest pewnym, czy przebył już pierwszą miłość w swem życiu.

Salvador Lopez Guijarro.

Treść Nr. 38.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) **Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.**